Nr. 6 (1154). Warszawa, 25 Stycznia (7 Lutego) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Schädler o cesarzu Wilhelmie.

Podczas rozpraw w sejmie pruskim nad kredytami na wynarodowienie Poznańskiego i Prus Zachodnich (19 i 20 z. m.) w parlamencie niemieckim rozbrzmiewała mowa posła bawarskiego, księdza Schädlera, zadziwiająca śmiałością ataku, skierowanego wprost przeciw cesarzowi, jako zwierzchnikowi Rzeszy. Rozprawianie o panującym, krytykowanie jego postępków w normalnej monarchii konstytucyjnej jest niemożliwem, bo tam zasłaniają króla ministrowie. W Niemczech, zorganizowanych federacyjnie, niema właściwie panującego, któryby pod względem uprawnień dał się zrównoważyć z królem konstytucyjnym, a stanowisko cesarza, który jest tylko zwierzchnikiem federacyi i dowódcą jej sił zbrojnych, konstytucya zamknęła w granicach, nakazujących mu wielką powściągliwość i umiarkowanie w zażywaniu władzy i korzystaniu z majestatu. Właśnie w dwu tych cnotach wyćwiczyć się najtrudniej jest cesarzowi Wilhelmowi, a bez takiego wyszkolenia nie może on ustrzedz się błędów, zboczeń i zajazdów na cudze pola i musi też wywoływać ze strony pojedynczych państw i ich obywateli milczącą niechęć, a niekiedy i jawny, choćby tylko dyalektyczny, opór.

Gdy rozprawiać zaczęto o deficycie, Schädler jako powód wskazał samowolę pojedynczych wydziałów urzędu kanclerskiego, które bez pytania i obawy przekraczają budżet, zwłaszcza wydział wojskowy. Nie to jednak jest głównem złem w zarządzie Rzeszy. Jest niem przekraczająca budżet praw konstytucyjnych działalność osobista cesarza. Zaczynają się w Bawaryi obawiać imperyalizmu i unitaryzmu. Depesza z d. 10 sierpnia r. z. do księcia Luitpolda wywołała wielkie rozgoryczenie. „Najgłębsze oburzenie“ z powodu niepochwalenia przez sejm bawarski pozycyi budżetowej na nabycie dzieł sztuki, oburzenie dochodzące do Monachium z Berlina, było również niestosownem, jak oskarżenie sejmu o „niewdzięczność względem Wittelsbachów,“ a ofiarowanie od siebie księciu regentowi sumy odmówionej przez sejm, prawdziwie było już zniewagą. Wyjaśnienie dane przez Schädlera z całego tego postępku zostawia tylko na działaczu skazę nierozwagi i nieznajomości rzeczy. Sejm nie dlatego zamiast 160,000 marek dał tylko 60,000, żeby lekceważył sztukę, a chciał być niewdzięcznym dla Wittelsbachów, ale z pobudek politycznych: pragnał, mianowicie, ukarać ministrów za puszczenie płazem niewłaściwego zachowania się senatu uniwersyteckiego w Würzburgu w pewnej sprawie czysto miejscowego znaczenia. Niepowściągliwość sprowadziła tylko kompromitacyę.

Ale i bez takiej czysto parlamentarnej i zupełnie godziwej pobudki taktycznej odrzucenie samo żądania ministeryalnego nie mogłoby być nigdy niewdzięcznością. Ks. Luitpold sam od siebie i dla siebie niczego się nie dopominał: ministrowie domagali się dla państwa, dla instytucyi państwowej. Większość miała prawo być większością — dać lub odmówić; odmówiła, i skorzystała tylko ze swego prawa. Wobec czczości samego wystąpienia depesza wzmocniła stanowisko konstytucyjne sejmu i stronnictwa mającego większość. Stało się to wbrew utajonej intencyi telegramu, który powstał pod działaniem zasady *principis voluntas suprema lex esto*. Tę zasadę, widocznie wyznaje cesarz Wilhelm. Gorszem od samej depeszy jest jej ogłoszenie umyślne, w kilka dni po wysłaniu, kiedy można już było wiedzieć o istotnym stanie rzeczy i przeświadczyć się o niestosowności takiego kroku — oczywiście dokonanego bez wiedzy, a może i wbrew woli księcia-regenta bawarskiego. Własnemu, tj. pruskiemu sejmowi, mógłby jeszcze cesarz dawać *monita*: sejmu rzeczą jest należyte ich połykanie; ale, chłoszcząc sejm bawarski, cesarz stanął w sprzeczności z konstytucyą, która pod opiekę swą bierze nietylko pojedyncze państwa, ale i ich sejmy.

Przypomniał Schädler ces. Wilhelmowi, że cesarstwo niemieckie jest państwem federacyjnem, a cesarz nie ma nad nim władzy takiej, jaką w monarchiach konstytucyjnych posiada król, nie jest *souverain*'em, nie sprawuje najwyższowładztwa, przywiązanego do godności królewskiej, Przyduje

tylko w związku— i nic więcej. Na to, aby być suwerenem, musiałby mieć tytuł i prawa „Cesarza Niemiec,“ gdy w rzeczywistości jest tylko „Cesarzem Niemieckim.“ Nie do niego należy regulowanie wewnętrznych stosunków państw związkowych. Przestrzeganie tej zasady tem większą ma wagę dla Niemców, że ten, kto ją gwałci, może osłoniony jest nieodpowiedzialnością. „Domagamy się — zakończył mówca — dokładnego dochowywania praw konstytucyjnych i zupełnego poszanowania samoistności państw związkowych, a czynimy to z tem większym naciskiem w im większym stosunku wzrastają ciągle wymagania i ofiary.“ Wezwanie to, nie pod jednym tylko wysłane adresem, zwraca się i do Prusaków, do całego Narodu Pruskiego, który oczywiście, może tylko zachęcać Cesarza do czynów przeciwnych konstytucyi. Nie Niemcy rozpuszczą w sobie Prusy, ale Prusy wessą w siebie Niemcy. Taka jest wiara, takie hasło, taka zwolna spełniająca się rzeczywistość. Niemcy prusaczone, to Niemcy duchowo upadające. I to się już nie zmieni, dopóki król pruski będzie Cesarzem Niemieckim z samego prawa.

Listy z Francyi.

Paryż, 30 stycznia.

Minister marynarki Pelletan. — Jego żelazna wola, wytrwałość i stałość przekonań. Reformy. — Napaści wrogów. — Opuszczenie przyjaciół. — Uznanie u robotników.

Dawno już nie było we Francyi człowieka, na którego rzucanoby się z tak zaciekłą nienawiścią, którego chcianoby tak pohańbić i zmiażdżyć, jak obecnego ministra marynarki, Pelletana. Od lat co najmniej trzydziestu znany był on w całej Francyi, jako szczery republikanin, prawdziwy demokrata, człowiek nieposzlakowanej uczciwości, nader prawego charakteru, wielkiej pracowitości, oryginalnej, ironią nacechowanej wymowy, ciętego pióra i gruntownej znajomości spraw, dotyczących finansów, wojny, marynarki, oraz robót publicznych.

W Izbie należał on zawsze do lewicy, do najsumienniejszych i najenergiczniejszych deputowanych, przed których słowem i piórem drżeli nieraz sami ministrowie i musieli ustępować z zajmowanego stanowiska. Nie podzielał on w teoryi wszystkich zapatrywań skrajnych radykałów, nie przerzucał się, jak Millerand, pod sztandar idei popularniejszych, a jednak nigdy nie hamował postępu, zawsze stawał po stronie cierpiących i wyzyskiwanych.

Gdy przed siedmiu miesiącami ten nieodrodny syn i wyznawca „praw człowieka“ wielkiej rewolucyi francuskiej wstąpił po raz pierwszy do ministeryum i przyjął tekę marynarki — zdziwienie, niemal osłupienie było powszechne. Reakcyoniści pocieszali się jednak myślą, że może to tylko chwilowy wybryk znanego oryginała, albo też dowód, że i on na starość sprzeniewierzył się swym ideałom i połakomił na honory, sławę i bogactwa. Zdawało im się, że potrafią go ujarzmić i unieruchomić, jak wytresowali jego poprzedników pozornie nieugiętych — Burdeau i Lockroy.

Wszak dotychczas wszyscy nowi ministrowie, bez względu na to, do jakiego należeli stronnictwa, wnosili tylko nową firmę, a nie nowe zasady i program; na progu ministeryum wraz z odzieżą i zwyczajami zostawiali swe ideały i przekonania. A jeśli który pokusił się o jaką radykalniejszą reformę, której domagało się jego stronnictwo, to nie mając odpowiedniej energii i wytrwałości, nie znając dobrze spraw, których miał być kierownikiem, cofał się lub ustępował zupełnie. To też pomimo częstych zmian w składzie gabinetu, rządy we Francyi pozostawały jednakie, a administracye nie znały niepokoju. Taż sama rutyna, nepotyzm, biurokratyzm, formalistyka i sprzedajność za ministra X., co i za ministra oportunisty Y. lub klerykała Z.

Pelletan, bodaj pierwszy i jedyny, zostawszy ministrem, nie wyparł się ani na chwilę zasad i przekonań swego stronnictwa, nie zgodził się być manekinem i narzędziem dyrektorów-swego departamentu, zerwał z dotychczasowym oportunizmem ministeryalnym i ze zwykłym optymizmem parweniuszów. Nie wyobrażał sobie, ażeby marynarka francuska została zbawiona przez sam fakt zamianowania go ministrem, rozumiał, że zmiana etykiety nie wystarcza tam, gdzie wszystko należałoby zreformować. Przyjąwszy tekę ministeryalną, nie poszedł za przykładem Milleranda, nie wyparł się na pewien czas swego stronnictwa, nie obniżył jego programu i ideałów, nie wystawiał na widok publiczny klejnotów swej żony, i wyfraczony, wypomadowany nie uganiał się za tytułem barona.

Pelletan po długich wahaniach — nie wbrew zasadom swej woli i partyi, lecz na jej usilne nalegania—przyjął udział w rządach i skorzystał z ofiarowanej mu władzy, ażeby urzeczywistnić choć w części to, czego się oddawna domagał i zadać pierwszy cios pozłacanemu gmachowi, w którym od wieków panowały przesądy i rutyna.

Już sama prostota Pelletana, jego obejście, wstręt do salonów i blichtru życia światowego, następnie wybór na adjutantów skromnego oficera mechanika i zwykłego inżeniera nie podobały się arystokracyi i jej lokajom, przepełniającym ministeryum marynarki; tembardziej, gdy spostrzeżono, że to człowiek gruntownie znający się na rzeczy, pragnący szczerze położyć kres nadużyciom, protekcyom, oszustwom i zaprowadzić we wszystkich działach ład, oszczędność i sprawiedliwość.

Natychmiast po objęciu teki ministeryalnej zajął się Pelletan budżetem i polecił dyrektorom wydziałów tak zmniejszyć wszelkie wydatki, by w r. 1903 suma ich nie przewyższała budżetu roku poprzedniego. Skoro jednak ci orzekli, że to jest niemożliwe, zabrał się sam do szczegółowego i sumiennego studyowania wszyst-

M. SCHWOB.

FLET.

Burza odsunęła nas daleko od brzegów, w ciągu długich ciemnych dni statek pruł zielone pienięce się masy wód. Czarne niebo zdawało się zbliżać do oceanu; wisiało tuż nad naszemi głowami. Horyzont otoczony był sinawym kręgiem, a my błąkaliśmy się po pomoście, jak cienie. Latarnie wisiały na drągach masztowych, krople deszczu spływały po szkle, czyniąc ich światło drżącem i niepewnem.. Z tyłu, okienko sternika rzucało przezroczyste, wilgotne, ponsowe światło. Belki pokładu tworzyły naokoło masztu półkole czarne, a na tle ciemności, w czasie zmian kierunku wiatru, bieliły się żagle jeszcze. Przy kołysaniu bałwanów światełka latarni migotały miedzianemi blaskami w strugach wody, ciekącej po żaglowych płótnach, nakrywających działa okrętowe.

Wiatr sprzyjał. Polowaliśmy bezustannie od czasu ostatniego napadu. Kotwice zwieszały się przy zewnętrznych bokach okrętu, potoki wód, z nieba spadłe, zmyły i zbryliły wszystkie szczątki boju. W zbitych stosach leżały jeszcze trupy w ubraniach o guzach błyszczących; obok — siekiery, pałasze, świstawki, łańcuchy, sznury i kule; ręce sine ściskały kurki pistoletów i rękojeście mieczów; twarze pokiereszowane, opończami napół przykryte, zdawały się dyszeć resztą zapasów śmiertelnych.

Sunęliśmy wśród rozkładających się trupów.

Huragan straszny odjął nam odwagę i moc uporządkowania szczątków. Czekaliśmy świtu dla rozpoznania naszych towarzyszów i zaszycia ich w wory śmiertelne.

Zdobyty okręt napełniony był arakiem; kilka beczek przymocowano do przednich i tylnych masztów, a kilkunastu nas nadstawiało kubki lub usta, gdy wśród kołysania się okrętu, tryskały z tych beczek brunatne strugi.

O ile busola nas nie myliła, płynęliśmy ku południowi; ciemności i horyzont pusty utrudniał badanie kart morskich. Raz zdawało nam się, że widzimy jakieś ciemne wzgórza na zachodzie, to znów, że tam są płaszczyzny bladawe, ale nie widzieliśmy zgoła, czy te wzgórza są to góry, czy skały urwiste, a owe płaszczyzny blade, czy to nie morze czasem, jasnemi bałwanami o urwisko bijące.

Chwilami, po przez dżdżystą zasłonę, dostrzegaliśmy ognie o czerwoności mglistej: kapitan dawał znak sternikowi, aby ich unikał. Wiedzieliśmy, że jesteśmy dostrzeżeni i ścigani. Owe ognie mogły być łodziami, mogły być na nich materyały wybuchowe, służące do podpalania okrętów; mogliśmy również płynąć wzdłuż brzegów niegościnnych, a nadto obawiać nam się należało zdradzieckich sygnałów rozbitków.

Minęliśmy prąd wody gorącej, która przepływa ocean, ginęliśmy znowu w nieświadomości.

Kapitan, nie wiedząc, co nam przyszłość przyniesie, zwołał załogę. I wśród nocy, przy świetle kilku latarni, zgromadziliśmy się wszyscy w kajutach oficerskich; kapitan podzielił nas na grupy: słychać było przytłumione szepty. Skarbnik ciągnął losy i rozdawał łupy. Każdy dostał część należną ubrania, żywności, złota, srebra, i przedmiotów drogocennych, znalezionych na rękach, szyjach, lub kieszeniach mężczyzn i kobiet na zrabowanych okrętach.

Kazano nam się rozejść — poszliśmy w milczeniu.

Nie w taki to sposób dzieliliśmy się zwykle: przy końcu wyprawy, statek nasz obładowany zdobyczą, wśród przekleństw i bójek krwawych, przybijał do naszej nikomu nieznanej wyspy „Dus,“ po raz pierwszy nie było żadnego pchnięcia nożem, żadnego strzału z pistoletu.

Podział się skończył. Niebo wypogadzało się stopniowo, ciemności ustępowały. Rozwełniły się obłoki, mgły opadały, siny horyzont zajaśniał blaskiem złocistym; zwierciadlana toń oceanu odbijała mniej czarne przestworza. Świetlana tarcza zwiastowała wschód słońca, a promienie jego roztoczyły wspaniały krąg wachlarza. Fale migotały pomarańczowymi, fioletowymi i purpurowymi blaskami. Ludzie wydali okrzyk radości, zobaczyli na powierzchni morza pływające porosty: Zwiastuny ziemi.

Wieczór zapadł. Powietrze było jakby przesiąknięte ogniem od gorąca. Zbudziła nas blada, niebieskawa jasność poranku, właściwa morzom południowym. Oczy nasze, nieprzywyczajone do jasności, bo-

kich rubryk budżetu; po sześciu tygodniach ciężkiej pracy, w której dopomagał mu jedynie energiczny szef jego gabinetu, Tissier, wykazał możliwość zaoszczędzenia w 1903 r. 50 milionów franków.

Od tej chwili minister marynarki dostał się pod ścisłą obserwacyę swych podwładnych dyrektorów i admirałów, dotychczas nietykalnych i wszechpotężnych. Każde jego słowo, czyn, gest niemal były bezzwłocznie denuncyowane w dziennikach nacyonalistycznych, w niegodziwy sposób tłomaczone i przekręcane.

Tymczasem nowe gromy spadły na wygalonowanych szefów marynarki francuskiej. Minister zmniejszył im dodatkową pensyę na życie, ograniczył wydatki na sztab generalny i muzykę, zniósł oszustwa, polegające na podawaniu okrętów niezdatnych, za gotowe do wyruszenia na morze, wymierzył odpowiednią karę admirałom Servan i de Beaumont, itp. Wtedy zawrzała walka przeciw Pelletanowi, lecz nie otwarta, z podniesioną przyłbicą a skryta, obłudna i oparta na oszczerstwach. W pismach sprzedajnych, w korytarzach Izby powtarzano ohydne bajki o jakichś dokumentach wykradzionych, o ujawnieniu sekretów wojennych itp.

Jednocześnie powstali przeciw Pelletanowi wielcy „przedsiebiorcy budowy okrętów, a raczej ich obrońcy— naturalnie pod płaszczykiem patryotyzmu. Nie mając wyznaczonych funduszów, zawiesił on budowę olbrzymich a nader niepraktycznych pancerników wojennych. Wprawdzie za jednego z poprzednich ministrów, w przystępie szału patryotycznego uchwalono ich konstrukcyę, która miała kosztować dziesiątki milionów, zaczęto nawet budowę, ale specyalnych funduszów na nią nie wyznaczono.

Przeciwnicy ministra, przygotowawszy grunt za pomocą kłamstw i potwarzy, skorzystali z pierwszej sposobności, jaka się nastręczyła jeszcze przed otwarciem Izby, ażeby przedstawić Pelletana, jako człowieka szkodliwego, niebezpiecznego nawet dla pokoju Francyi. Rzucono się nań za jego gorącą, może zbyt patryotyczną mowę na Korsyce, a tak trąbiono na gwałt i trwogę, że aż prezes ministrów, Combes, uląkł się i uważał za właściwe tłomaczyć się publicznie, niemal przepraszać, choć dwory zagraniczne nie czuły się bynajmniej dotknięte.

Po otwarciu Izby zaczęto natychmiast wytaczać działa przeciw ministrowi marynarki. Najpierw zainterpelowano go w sprawie uczonego chemika, Raula Pictet, który jakoby miał wstęp do pracowni i archiwum marynarki. Gorący zwolennik parlamentaryzmu, żywiąc dlań pewien kult nawet, Pelletan — członek rządu, natura krewka, uważał sobie za obowiązek zapanować nad oburzeniem i odpowiedzieć spokojnie, z zimną krwią, na interpelacyę postawioną w formie grzecznej, lecz jadowicie. Z łatwością, przedstawiając tylko fakty, odparł zarzuty i osiągnął zwycięztwo prawdy, ale to właśnie jego spokojne zachowanie się, stłumienie oburzenia i wściekłości, dało powód wrogom do głoszenia, że Pelletan się uląkł, a przyjaciołom do mniemania, że się poniżył. Więc zaczęli go opuszczać, w rzeczywistości jednak dla innych powodów. Ci, co liczyli na jego protekcyę, zauważyli, że się przerachowali, że tylko na swe zdolności i pracę liczyć mogą; inni, widząc, że dawny ich druh i wódz idzie na przebój, a Izba lada chwila pozbawić go może teki ministeryalnej, zawczasu zaczęli się od niego usuwać i chronić pod skrzydła ministrów, schlebiających większości.

Opuszczony przez kolegów z ministeryum, zdradzony niemal przez towarzyszów broni, czerniony nietylko przez reakcyjne, ale i przez republikańskie dzienniki, których do niedawna był współpracownikiem, Pelletan sam jeden bronił się, skoro mu w Izbie zarzucano powstrzymanie budowy okrętów wojennych. Mógł on wymienić głośne, polityczne osobistości, które maczały niejednokrotnie ręce w złocie, zawotowanem na pancerniki wojenne, ale nie chciał dla swej obrony denuncyować nawet oszustów. Wolał poprzestać na przedstawieniu z jednej strony, że w budżecie marynarki niema dotychczas odpowiednich funduszów na budowę okrętów, z drugiej, że czas jeszcze opamiętać się i zaniechać wydatku, który wzbogaci tylko wielkich przedsiebiorców i zwiększy ich kapitał w ciągu niespełna dziesięciu lat do 154 milionów franków.

Choć parlament musiał przyznać słuszność wywodom ministra marynarki, niemniej jednak polecił zamieścić w budżecie sumy dawniej zawotowane, a komisya budżetowa, złożona z wrogów politycznych Pelletana, odrzuciła jego projekty reform.

Tryumfowali przeto wielcy przedsiebiorcy budowy okrętów, admirałowie byli pomszczeni, a biura ministeryum marynarki szykowały się do iluminacyi. Zdawało się, że lada chwila Pelletan opuści stanowisko, na którem tak ciężko było mu coś przeprowadzić, gdzie tylu doznał zawodów i przykrości. Ludzie jednak, tak żelaznej woli i tak silnego charakteru, nie słuchają rad przyjaciół, ani prasy ministeryalnej. Nie teraźniejszość, ale przyszłość i historya osądzą należycie wartość i znaczenie tego człowieka.

Dziś znają go najlepiej i najsprawiedliwiej oceniają pracownicy arsenałów i portów wojennych. Pomimo bowiem przeszkód, stawianych mu przez zwolenników rutyny i starego porządku, Pelletan we wszystkich pracowniach i warsztatach zaprowadził obowiązkowy odpoczynek niedzielny oraz pracę ośmiogodzinną. Ponad to uznał urzędownie zawodowe związki robotników marynarki, oraz ich Federacyę, do której należy obecnie 25,000 członków; urządza ona corocznie kongresy, posiada swój organ *L'Emancipateur* i stara się o polepszenie doli licznego zastępu swych uczestników.

Dr. Józef Zieliński.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nareszcie d. 30 z. m. sejm niemiecki zajął się interpelacyą polską, wniesioną jeszcze w listopadzie. Wybrany przez Koło poseł Dziem-

łały okropnie; skryliśmy się po za wały ochronne, nic nie widząc, gdy ze strażnicy zawołano: „Ziemia, ziemia przed nami.“ W godzinę potem, przy ciemnem, zamglonem niebie dostrzegliśmy, na krańcach oceanu, brunatną linię jakąś, jakby pianą pokrytą.

Zapuściliśmy kotwicę. Ptaki białe i czerwone siadały na sznurach, fale przyniosły różnobarwne kawałki drzewa. Jakiś punkt ruchomy ukazał się niespodzianie; na morzu ciemnem w promieniach piekącego słońca wydawał się różowym: wkrótce przekonaliśmy się, że to jest łódka zwykła. Nie miała żagli, zdawała się nie mieć wioseł.

Płynęła przed nami. Wołaliśmy — nic widać, ani słychać nie było. W miarę zbliżenia do niej dochodziły nas niesione przez wiatr, ciche, łagodne, miękie dźwięki, których nie można było wziąć ani za skargi morza, ani za drżenie sznurów i lin, przymocowanych do żagli. Dźwięki te, pełne łagodnego smutku, ściągnęły wszystkich towarzyszów na brzeg okrętu. Patrzyliśmy ciekawie.

Tajemnica wyjaśniła się wkrótce: łódka była z jakiegoś drzewa barwnego; wiosło, zdaje się, prąd uniósł, a w głębi leżał starzec, z nogą opartą o brzeg steru. Broda i siwe włosy okalały mu twarz; płaszcz w pasy, zarzucony na ramiona, stanowił jedyne jego ubranie; w rękach trzymał flet i grał.

Otoczyliśmy łódź, lecz on się nie ruszył. Oczy miał błędne, a może był niewidomy. Był bardzo stary, ścięgna członków przebijały przez skórę. Zabrano go na pomost i położono u stóp masztu na płótnie.

Trzymając jedną ręką flet przy ustach, wyciągnął drugą, jakby szukając czegoś wokoło. Dotknął stosu broni, łańcuchów, trupów rozgrzanych w słońcu, przesunął palcami po rękojeściach siekier, dotknął martwej skóry na twarzach zmarłych. Wreszcie cofnął rękę i z oczyma błędnemi, blademi, z twarzą wzniesioną ku niebu, zagrał na flecie.

Flet był czarny z białem, a gdy dźwięk jego rozległ się wkoło, wydał się hebanowym ptakiem, inkrustowanym kością słoniową, a skrzydłami jego — białe, przezroczyste ręce, które nim władały.

Pierwsze tony, były ciche i drżące, jak drżącym musiał być głos starca; sercami naszemi zawładnęły wspomnienia przeszłości, niewinności, dzieciństwa, zgrzybiałych staruszek, które były naszemi babkami. Teraźniejszość zniknęła, podnieśliśmy uśmiechnięte twarze, palce szukały zabawek, a wpół otwarte usta pocałunków czystych.

Tony fletu się podniosły: był to krzyk namiętności burzliwej. Przed oczami naszemi przesuwały się jakieś obrazy pomarańczowe, ponsowe — obrazy ciała, złota i krwi. Serca nabrzmiewały w harmonii oddźwięku, szaleństwa dni ubiegłych, źródła zbrodni naszych, kotłowały, huczały w głowach. A dźwięki fletu brzmiały coraz silniej. Był to odgłos huraganów, świst wiatru, miotającego bałwanami, łoskot miażdżących okrętów, ryk mordowanych ludzi, przerażenie zczerniałych od smoły twarzy, z mieczami w rękach pnących się do ataku, huk kul armatnich, wybuch i trzask zatopionych pancerników. Słuchaliśmy w milczeniu echa własnego życia...

Nagle dźwięk fletu się zmienił — było to znów kwilenie niemowlęcia; słychać było żałosny głos rodzącego się dziecka, głos tak słaby i jękliwy, że krzyk zgrozy wydarł się z naszych piersi.

Zobaczyliśmy nagle oczyma, rozwartymi w przyszłość, to, co nie mogło już być naszym udziałem, cośmy na wieki zatracili, śmierć nadziei dla nas, włóczęgów morskich: istnienia przyszłe — zabite... My bez żon, broczący we krwi zbrodni, upojeni złotem, nie mogliśmy już nigdy usłyszeć głosu nawonarodzonych dzieci, skazani byliśmy tylko na odczuwanie kołysania fal pod naszemi nogami lub kołysania głów, nakrytych czarnymi zawojami, na linach drągów masztowych; nasze życie było stracone, bez nadziei stworzenia nowych istnień.

Hubert, kapitan okrętu, cisnął przekleństwo, wyrwał starcowi hebanowego ptaka, i dźwięk zamilkł. Hubert rzucił flet do morza. Błędne oczy starca drgnęły, członki się wyprężyły, głosu nie wydał. Gdy go dotknęliśmy, leżał zimny.

Może ten człowiek dziwny był włosnością oceanu, bo gdy go w nurty ciemne w ślad za fletem rzuciliśmy, znikł razem z płaszczem i łodzią. I nigdy już głos rodzącego się dziecka nie doszedł naszych uszów ani na ziemi, ani na morzu.

Tłom. *Wł. Zaremba.*

bowski zapytał kanclerza: „Co myśli przedsięwziąć, aby położyć kres nierównomiernemu traktowaniu ludności polskiej (w porównaniu z niemiecką) wewnątrz państwa?“ Uzasadnienie rozpoczął od stwierdzenia praw do wytoczenia takiej interpelacyi w sejmie Rzeszy, a uczynił to w sposób jasny i przekonywający. Sprawa jest zasadniczą, zaczepia o fundamenta konstytucyi, o prawa wydane przez Rzeszę a gwałcone w jednem z państw ją składających. Sam rząd mówi o wielkiem niebezpieczeństwie polskiem: niechże je pozna Rzesza. Polacy odwołują się do opinii publicznej całych Niemiec, do ich prawych przedstawicieli. Nie chcą słodkich słówek od ministrów; chcą praw swoich konstytucyjnych, kulturalnych, praw ludzkich, praw samej natury. Domagają się spełnienia uroczyście danych przyrzeczeń, żądają utrzymania języka i obyczaju polskiego. Dzisiejszy rząd pruski wszystko to gwałci. Nie szanuje prawa osób w wojsku, odmawiając przywilejn służby jednorocznej, zakazując nawet uczęszczania do restauracyj polskich; uważa kupców i rzemieślników za konstytucyjnie gorszych od niemieckich i bojkotuje ich przy dostawach i zakupach. Polacy nie mają zapewnionych praw osobistych i po za obrębem służby wojskowej: redaktorów polskich, nawet wyrokiem jeszcze nie skazanych, strażnicy pędzą razem ze złoczyńcami, w więzieniu władze umyślnie dręczą skazanych za t. zw. przestępstwa prasowe. Nauczycielom nie wolno jest rozmawiać po polsku nawet po za szkołą, bywać na zgromadzeniach polskich. Wyćwiczeni przez rząd urzędnicy prowadzą prześladowanie z zaciekłością. Jeden z nich, na poczcie, poważył się zwrócić list, z dodanym napisem: „Co wy gałgany Polacy (*Lumpe Polen*) piszecie po polsku?“ Ściganie adresów polskich jest wydzieraniem języka polskiego.

Rozzuchwalenie się urzędników rodzi ustawiczne gwałty, a za urzędników odpowiedzialnym może być tylko rząd. Nawet wolę wyższą taki urzędnik lekceważy. Trzynastoletnia dziewczynka otrzymała od króla medal za ratowanie ginących; gdy doszła do 18 roku życia, odmówiono jej nagrody z powodu, że trzyma z Polakami. W sferze społecznej stowarzyszenia polskie doznają ciągłych od policyi przeszkód i nękań. Komisye generalne gwałcą konstytucyę względem Polaków. Komisya kolonizacyjna szerzy germanizacyę i protestantyzm. Jeżeli się zdarzy urzędnik niezarażony szowinizmem, szanujący prawa Polaków, rząd go usuwa, jak Löhninga. Prawo o aktach stanu cywilnego, wydane przecież przez Rzeszę, gwałcone jest w Prusach, z krzywdą Polaków. Wygnano już zupełnie końcówkę żeńską „ska.“ Jeden z owych wyćwiczonych urzędników odrzuca „Salomeę“ i zgadza się tylko na „Salomonę.“ Inny zamiast „Wacława“ wpycha „Wenzela,“ a wobec oporu zawiera wreszcie układ pojednawczy i wciąga do aktu „Heliodora.“ Może kiedyś i Cicero okaże się Niemcem!

Jędrne zakończenie mowy objaśniającej złożyło się z następujących ogniw myślowych: Mówicie, że nam sił przybywa: tak jest, robimy postępy, a jest to skutkiem pruskiego ucisku, ucisku mowy naszej ojczystej. Ucisk ten do głębi wstrząsnął nasze dusze. Jesteśmy mocni, bo liczymy tylko na własne siły, gdy przeciwnie Niemiec wzywa wciąż państwa na pomoc. — To stwierdzenie siły potrzebniejsze było dla samej ludności polskiej w Poznańskiem, niż dla Niemców, zasiadających w parlamencie. Ostatnie słowa „Panem et circenses“ nie przystawały do tematu interpelacyi, ani też do tematu samego życia. Wogóle jednak poseł Dziembowski mówił dobrze.

Odpowiadali mu Posadowsky, sekretarz stanu do spraw wewnętrznych Rzeszy, i Gossler, pruski minister wojny. Pierwszy obwieścił, że niema zgoła kwestyi polskiej w międzynarodowem znaczeniu. Polskie dawniej prowincye są dziś częściami integralnemi monarchii pruskiej. Nic się nie zmieni, dopóki Prusy będą miały w polu choćby jednego żołnierza. Zresztą, wszystkie sprawy, poruszone w interpelacyi, z wyjątkiem zaczepiających o służbę wojskową, należą do sejmu pruskiego i sejm Rzeszy nie powinien się niemi zajmować. *Principiis obsta* — wołał obrońca nieskazitelności rządu i prawowitości konstytucyi — w samych już początkach trzeba zatamować to wywlekanie rzeczy pruskich przed sejm niemiecki.

Narodowo-liberalni pochwalili politykę rządową: oni mają zawsze jedną melodyę na smyczy bismarkowskiej. Arcykapłan hakatyzmu, Tiedemann, oskarżał duchowieństwo, wyzwanie do tego boju, który się teraz toczy, zwalał na Polaków — on, założyciel „Ostmarkenvereinu“! Były przecież i głosy ludzkie, choć niemieckie: Roeren ze środka zganił rząd pruski za postępowanie z Polakami i podzielił wywody posła Dziembowskiego; Lenzmann, z wolnomyślnych, napiętnował politykę względem Polaków, jako gwałt zadawany sprawiedliwości.

O ile doniesiono, to z Polaków przemawiał jeszcze książę Ferdynand Radziwiłł — tak, po radziwiłłowsku, miał tylko parę momentów lepszych.

Podczas rozpraw ks. Jażdżewski, po ciężkich błędach w sejmie pruskim d. 20 z. m., teraz już z uśmiechami uprzejmości, w różowym humorze, zabawiał rozmową obu ministrów: postęp.

D. 31 z. m. rozprawy odroczono — zapewne *ad kalendas graecas*.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Ludność polska w Galicyi Wschodniej. — Rusini obrządku łacińskiego. — Nowa faza pracy na Rusi. — Wiece antirusińskie. — Obszarnicy i demokraci narodowi. — Skutki wieców. — Demokraci narodowi w roli czarno-żółtych patryotów.

Faktem jest, że w Galicyi Wschodniej, nietylko w powiatach, bezpośrednio sąsiadujących z czysto polskimi powiatami, ale nawet na krańcach tej części kraju, istnieje znaczna liczba polskiej ludności włościańskiej. W takich powiatach, jak Skałacki (na granicy Podola), Tarnopolski, Samborski itd. porozrzucane są liczne kolonie polskie, stanowiące silne skupienia odrębne na tle etnograficznie ruskiem. Ludność tych kolonij poczuwa się do odrębności narodowej, mówi po polsku i czuje swą łączność z ludnością zachodniej połaci kraju. Otóż w stosunku do tej ludności inteligencya polska Galicyi Wschodniej ma nietylko prawo, ale i obowiązek pełnienia służby kulturalnej. Zakładanie w tych koloniach szkół z polskim językiem wykładowym, jak to czyni Towarzystwo szkoły ludowej, rozpowszechnianie polskich wydawnictw ludowych, organizowanie czytelni itd. — wszystko to zasługuje na zupełną sympatyę ze strony każdego człowieka o nieprzyćmionem poczuciu sprawiedliwości.

Ale obok kolonij polskich, które posiadają i zachowują swą odrębność narodową, istnieje na Rusi bardzo dużo wsi, które niegdyś były polskiemi, ale obecnie już nie są. Wieki już całe trwa emigracya chłopów polskich na Ruś; lecz te setki tysięcy ludności polskiej stosunkowo bardzo szybko asymilowały się z otaczającym je żywiołem ruskim i tonęły w nim bez śladu prawie, tak samo jak utonęły w masie ludu polskiego zastępy kolonistów niemieckich, rozsypanych na całym naszym obszarze etnograficznym. Dziś chyba tylko skrajny hakatyzm niemiecki mógłby twierdzić, że wszystkie te osady Olędrów, Bambrów itd. są niemieckie, że ci chłopi polscy, którzy noszą nazwiska Szmydów, Fajfrów, Szajerów itp., są Niemcami. Otóż w Galicyi Wschodniej istnieje bardzo dużo wsi, które niegdyś niewątpliwie były polskiemi, ale które zrutenizowały się zupełnie. Ludność ich mówi wyłącznie po rusku, uważa się za Rusinów, bierze udział w rusińskiem życiu politycznem i do żadnej wspólności z żywiołem polskim się nie poczuwa. Wobec tego uważać jej za polską niepodobna, jakkolwiek wyznaje katolicyzm według obrządku łacińskiego. Traktowanie takich Rusinów obrządku łacińskiego, jako żywioł polski, oburza Rusinów i zmusza ich do protestów.

W ostatnich czasach zupełnie uzasadniona i słuszna dążność do podniesienia poziomu kulturalnego i ugruntowania świadomości narodowej rzeczywistej polskiej ludności włościańskiej Galicyi Wschodniej została wykoszlawiona przez demokratów narodowych, którzy, wziąwszy rozbrat zupełny z demokratyzmem, ogłosili swego rodzaju wojnę krzyżową przeciwko Rusinom i rozpoczęli akcyę polonizacyjną na modłę pruską. Akcya ta, zresztą, dla Rusinów jest najzupełniej nieszkodliwą, więcej w niej bowiem jałowego krzykactwa nacyonalistycznego, niż pracy pozytywnej, ale to krzykactwo wywołało naturalny oddźwięk w obozie nacyonalistów rusińskich, którzy rozpoczęli kampanię przeciwko ogółowi Polaków, jako jednemu zwartemu szeregowi „hakatystów,“ „nieprzejednanych wrogów Rusi.“ Rozpoczęła się więc heca nacyonalistyczna po obu stronach. Narodowi demokraci polscy wszczęli akcyę pomocniczą w kierunku budowania kościołów i kaplic łacińskich na Rusi, parcelowania gruntów pomiędzy umyślnie sprowadzonych na Ruś włościan polskich, organizowania antirusińskich manifestacyj młodzieży szkolnej itd. Rusini odpowiedzieli pięknem za nadobne. Kiedy polscy nacyonaliści zwracali się do Rusinów obrządku łacińskiego, dowodząc im, że trzeba odrzucić język ruski i stać się Polakami, nacyonaliści rusińscy starali się wmówić chłopom polskim na Rusi, że powinni się zrutenizować i z nienawiścią traktować wszystko, co polskie. Kolonizacyjna akcya polska wywołała po stronie rusińskiej wykupywanie majątków z rąk polskich właścicieli ziemskich i parcelowania ich pomiędzy chłopów rusińskich. Następstwem zakładania kapliczek łacińskich było bojkotowanie księży polskich przez Rusinów, przyczem dochodziło do czynnego usuwania księży-Polaków z chat Rusinów obrządku łacińskiego! Demonstracye młodzieży obydwóch narodowości wprowadziły nienawiść narodową do szkół i t. d.

Po znanych wypadkach podczas żniw na Rusi walka z Rusinami przybrała nowe formy, których dawniej nie posiadała. Nacyonaliści polscy, pragnąc pozyskać wpływ polskiej szlachty wschodnio-galicyjskiej, poczęli utożsamiać interesy polskości na Rusi z klasowo-ekonomicznymi interesami obszarników. Sprytniejsi z obszarników, w rodzaju dr. Kozłowskiego, zrozumieli bardzo szybko, że dzięki demokratom narodowym uda im się upiec własną pieczeń przy ogniu hecy antirusińskiej.

I oto obszarnicy z p. Kozłowskim na czele ujmują w swe ręce kierunek pracy „uświadamiania ludu polskiego na Rusi“ — pracy, mającej na celu dostarczenie im spokojnego, nieulegającego agitacyi rusińskiej, robotnika na czas żniw i innych zajęć w polu. Narodowo-demokratyczne *Słowo Polskie* nie posiadało się z radości, że nareszcie szlachta polska w Galicyi Wschodniej poczuła się do „obowiązków narodowych“ i usiłowania te poparło z całej siły.

Taką była geneza tych licznych „wieców ludowych,“ na których występuje p. Kozłowski przeciwko Rusinom i nakłania lud polski (zwykle nieobecny) do wytrwania przy swej ziemi i narodowości. W o-

statnich dniach odbyły się takie wiece w Zbarażu, Podhajcach, Brzeżanach, Złoczowie i Husiatynie. Obecni byli właściciele dóbr, urzędnicy, księża, nauczyciele i trochę ludu wiejskiego, który się znalazł w tak niezwykłej dla niego kompanii głównie dzięki obfitemu poczęstunkowi. Typowym był wiec w Borszczowie.

Zwołali go marszałek powiatowy, hr. Borkowski, oraz dr. Kozłowski. Oprócz paru urzędników i księży reszta publiczności składała się z chłopów-Rusinów, tak greckiego, jak łacińskiego obrządku, którzy słuchali energicznych nawoływań, aby zawsze i wszędzie mówili tylko po polsku, i którzy po obfitym poczęstunku powrócili do domu i naturalnie nie przestali w dalszym ciągu mówić wyłącznie swym rodowitym językiem.

O dodatnich rezultatach podobnych wieców dla ludności polskiej nie może być, naturalnie, mowy. Wywołują one tylko coraz to nowe wybuchy rozgoryczenia wśród Rusinów i są źródłem nienawiści ich do Polaków! Pod wpływem takich zgromadzeń uczestnicy ich (z pomiędzy inteligencyi) dopuszczają się nieraz karygodnych wybryków.

Oto np. w Stanisławowie niejaki Galarewicz, nauczyciel szkoły wydziałowej im. Mickiewicza, wstąpił po takim wiecu do restauracyi i począł wykrzykiwać: „co Rusin, to świnia!“ prowokując w ten sposób, znajdujących się na sali Rusinów. Kiedy właściciel restauracyi zwrócił uwagę Galarewiczowi na niewłaściwość jego zachowania się, towarzysz Galarewicza, też nauczyciel, nawymyślał restauratorowi. Pod wpływem wieców księża łacińscy, którzy współubiegają się z parochami rusińskimi w t. z. duszołapstwie, czyli w sztucznem powiększeniu liczby swych parafian (i dochodów), rozpoczęli kazać z ambon przeciwko Rusinom. W Kamionce Strumiłowej, wikary ks. Buk, w celu „narodowego uświadomienia“ ludu, odzywa się w niedzielę do swych parafian (przeważnie Rusinów) w następujący sposób: Bracia Polacy! uważajcie, że my tu jesteśmy na polskiej ziemi, a Rusini przyszli do nas. Wobec tego miejcie sobie za święty obowiązek wszędzie do Rusinów mówić tylko po polsku. Nie słuchajcie żadnych agitatorów ruskich, którzy będą was namawiać do strajkowania. Podtrzymujcie ze wszystkich sił naszych panów-dziedziców, bo jak ich nie stanie, to i my nie mamy tu co robić itd.

I czyż można się dziwić po tem wszystkiem, że antirusińska heca powołuje do życia takie pismo, jak *Hajdamaki*, wydawane przez niejakiego Petryckiego — pismo, ziejące nienawiścią do wszystkiego, co polskie lub artykuły, pełne nikczemnej perfidyi, Sembratowicza, umizgającego się (z nienawiści do Polaków) do hakaty pruskiej i rządu pruskiego! Artykuły polskich narodowych demokratów w *Słowie Polskiem* wywołują takież same szowinistyczne wybryki *Diła* i, rozdmuchiwana przez nacyonalistów obu narodowości, nienawiść zatacza coraz szersze koła — ku wielkiej radości stańczykieryi, która z całej tej roboty wyciąga dla siebie nieobliczone korzyści. Heca antirusińska zbliża wszelkie żywioły nacyonalistyczne do szlachty wschodnio-galicyjskiej i pędzi je na służbę tej szlachty. Ta ewolucya, jaką narodowa demokracya odbyła tak szybko na gruncie galicyjskim, od radykalizmu do skrajnej reakcyjności, tłomaczy się prawie wyłącznie jej znacyonalizowaniem się w sprawie stosunku do Rusinów.

Rzecz charakterystyczna, że demokraci narodowi, utożsamiwszy interesy polskości w Galicyi Wschodniej z interesami wielkiej posiadłości ziemskiej, stanęli odrazu na stanowisku Koła we wszystkich ważniejszych kwestyach polityki państwowej. *Słowo Polskie* obecnie jest takim samym organem Koła, jak i reszta reakcyjnej prasy galicyjskiej. W sprawie np. powiększenia wojska, nakładającego straszne ciężary podatkowe na ludność pracującą, demokracya narodowa, popiera z całej siły żądania rządowe. Oto np. jak uzasadnia *Słowo Polskie* potrzebę nowych wydatków na armię austryacką: „Że Koło polskie czy to w Izbie poselskiej, czy to w delegacyach popierało wszelkie żądania ministrów wojny, mające na celu powiększenie liczebne armii, ulepszenie jej organizacyi, spotęgowania odporności monarchii, na to zgadzam się bezwarunkowo. Tylko doktryner mógłby potępiać za to reprezentacyę polską, doktryner, który nie chce widzieć, iż w czasie zbrojnego pokoju Europy armia jest organem wykonawczym polityki, narzędziem, udaremniającem zamachy obcej dyplomacyi i ułatwiającem przeprowadzenie planów własnych.“ Ciekawe też, że demokracya narodowa, opuściwszy stanowisko demokratyczne, widzi ratunek w najzwyklejszej szacherce, uprawianej przez stańczyków od niepamiętnych czasów. Głosowanie za wojskowemi żądaniami rządu austryackiego *Słowo Polskie* uważa za dobry geszeft polityczny, albowiem: „Taktyka pozwala nam równocześnie *zjednać sobie* decydujący w państwie czynnik, *koronę*, której wpływ na politykę wewnętrzną i zewnętrzną jest ogromny i której troskę o dobry i liczny stan armii z uwagi na przyszłość dynastyi łatwo można zrozumieć.“

Z dawnego *Głosu* — do przedpokojów Burgu wiedeńskiego — cóż to za szczytna ewolucya!

Daleki.

Kolonia lecznicza dla nałogowych pijaczek.

Pijaństwo robi ogromne spustoszenia wśród ludności agielskiej, nadewszystko wśród kobiet i dzieci. Więc też ci, którym przyszłość narodu angielskiego leży na sercu, starają się wszelkimi sposobami zaradzić tej strasznej klęsce społecznej, znaleźć najlepszą metodę walki z nałogiem, który rok rocznie pochłania tyle ofiar i tyle rodzin niweczy. Jedną z najciekawszych prób, a jak dotąd i najskuteczniejszych okazała się kolonia lecznicza, założona przez Lady Henry Somerset; instytucya ta rozwija się bardzo pomyślnie i daje rezultaty wspaniałe, warto więc poznać zasady, na których się opiera.

Kolonia została założona na wsi na zasadzie absolutnej konieczności pracy na świeżem powietrzu. Myśl utworzenia z niej instytucyi poprawczej została z góry odrzucona, uznano bowiem, że co się tyczy kobiet, które uległy alkoholizmowi, należy dążyć zarówno do fizycznego, jak moralnego ich odrodzenia. Nie można zapominać, że one przedewszystkiem potrzebują szpitala, tj. leczenia indywidualnego, w każdym wypadku przeto należy poznać przyczyny opilstwa. U niektórych pijaństwo jest poprostu rezultatem choroby; inne popadły w nałóg wskutek niedostatecznego odżywiania się lub używania pokarmu nie posiadającego własności odżywiających; inne jeszcze z powodu mieszkania w niezdrowych okolicach miasta, a największa, jeżeli nie przeważająca ilość popadła w pijaństwo dlatego, iż odziedziczywszy skłonność do picia, nie umiała walczyć z pokusą. W każdym z tych przypadków najlepszem lekarstwem jest umieszczenie nieszczęsnej istoty w idealnem ognisku domowem, one wszystkie bowiem prawie wyzbyły się wszelkich ideałów, i zerwały z rodziną. W tym celu postanowiono zabudować kolonię pojedynczymi dworkami i umeblować je skromnie, czysto i ładnie, a dać im wszystko, co się w domach rodzinnych znajdować powinno. Każdy domek zostaje pod opieką siostry-dozorczyni, która zna swoje pacyentki, rozumie ich potrzeby i troskliwie czuwa nad niemi.

Dzień wypełniony jest pracą przeważnie po za domem. W alkoholizmie ma się do zwalczenia zło nietylko moralne, ale i fizyczne, a najlepszem lekarstwem na tę truciznę, która niszczyła źródła życia, jest czyste powietrze i światło słoneczne. Swobodne zajęcie na łąkach, na grządkach kwiatowych, w ogrodzie warzywnym, jakoteż w oranżeryach, pozwala chorym zapomnieć o przeszłości, daje im zadowolenie z teraźniejszej chwili, rozbudza zaciekawienie do pracy i pragnienie osiągnięcia jak najlepszych z niej rezultatów. Wczesnym rankiem kobiety opuszczają domki grupami i udają się do roboty, ubrane w grube fartuchy i słomiane kapelusze. Idą do swego zajęcia wesołe i szczęśliwe, a zamiłowanie, z jakiem wykonywają swoje czynności, nadzwyczajny porządek, czystość i staranność około hodowli roślin, mogą służyć za dowód, jak odpowiedniem dla nich zajęciem jest ogrodnictwo. W lecie kolonistki zbierają do olbrzymich koszów owoce dla rynków londyńskich, a w zimie sortują nasiona lub robią kosze.

Lecz nietylko dla zdrowia fizycznego ogrodnictwo posiada wielką wartość; moralne jego znaczenie jest też bardzo doniosłe. Dla większości tych kobiet wspomnienia przeszłości pełne są goryczy i wstydu, wszystko więc, coby im przypominało tę przeszłość, wywoływa tylko smutek i wyrzuty sumienia. Praca w ogrodzie nie budzi żadnych wspomnień, wszystko tu jest dla nich nowe. Niektóre nie widziały nigdy źdźbła trawy, a gdy patrzą na to, co trudy ich rąk powołały do życia, na piękne kwiaty, pyszne owoce ziemi, które zawdzięczają im swe istnienie, czują się mimowoli szczęśliwe i pełne nadziei.

Praca i to praca ciężka, jest niezbędną dla alkoholiczek, lecz powinna być jak najbardziej urozmaicona i zawsze, o ile możności, odbywać się na świeżem powietrzu. Pszczelnictwo niemniej jest właściwem dla nich zajęciem, zarówno jak mleczarstwo.

Obok pracy na powietrzu istnieją też zajęcia pokojowe. Zaprowadzono warsztaty tkackie, na których kobiety robią bardzo piękne płótna białe i kolorowe; uczą się też koronkarstwa, całkiem wykształcone robotnice wykonywają roboty tak piękne, że wprawiają w zdumienie znawców. Tajemnica tych nadzwyczajnych rezultatów tkwi wtem, że robotnice są istotnie zainteresowane w swej pracy, że same się cieszą z swych postępów, więc też mogą w stosunkowo krótkim czasie nauczyć się wielu pięknych rzeczy.

Ten sposób traktowania nałogowych pijaczek w kolonii dowiódł jeszcze tego, że zamykanie ich w więzieniu nawet na krótki przeciąg czasu jest zupełnie bezcelowe, bo tylko atmosfera domowa w istotnem tego słowa znaczeniu może skutecznie wpłynąć na takie stany, w których zwyczajne więzienie sprowadziłoby tylko pogorszenie i ustalenie nałogu.

Urzędnik zdrowia w osadzie leczniczej zaświadcza, iż 65 procent wypuszczonych pacyentek zachowuje się zupełnie poprawnie, a to jest o wiele więcej, niż udało się osiągnąć przy jakimkolwiek innym systemie leczenia.

Ileż kobiet, witanych z radością przez mężów, a z uczucium szczęścia przez dzieci, powróciło stamtąd do swych ognisk domowych! Nieszczęśliwe, wzgardzone odzyskały ideał ogniska rodzinnego — nowego życia.

W. S.

Ruch kobiecy we Włoszech.

II. *)

Mimo wielkich zasług kobiet włoskich dla sprawy narodowej podczas walki o wyzwolenie Włoch mało zajmowano się ich prawami. Przewódcy stronnictw demokratycznych i narodowych nie dali jasnego określenia swym zapatrywaniom na stanowisko kobiety w przyszłości. Dopiero w r. 1848 wystąpiła na porządek dzienny kwestya kobieca, podczas wiecu demokratów w Rzymie, na którym uczestniczyło ośmiuset delegatów wszystkich dzielnic i stowarzyszeń włoskich. Wtedy to Anna Marya Mozzoni zażądała imieniem kobiet, należących do stronnictwa demokratycznego, aby zebranie przyznało kobiecie prawo uczestniczenia w wyborach na równi z mężczyznami. Uchwalono jednogłośnie wniosek przez nią podany, a brzmiący jak następuje: „Wiec wieców, zebrany w Rzymie, uznając w każdym człowieku prawo do głosu; uznając, że ludzkość składa się z mężczyzny i kobiety; uznając za niemożliwe rozwiązanie zagadnień społecznych, bez zniesienia dla połowy rodzaju ludzkiego krzywdzących ograniczeń; wierny swoim zasadom, pragnąc sprawiedliwości, która przynosi korzyść wszystkim — przyznaje tak mężczyźnie, jak kobiecie, niezaprzeczone prawo do głosu.“

Jeszcze wyraźniej oświadcza się za kobietami skrajna lewica włoska. „Mówiąc o potrzebie wywalczenia szerszych przywilejów politycznych, ekonomicznych i społecznych, mamy na myśli prawa wszystkich ludzi bez wyjątku, nie chcemy nawet wspominać o kobiecie, aby nie przypuszczano, że zaznaczamy przez to jakąkolwiek różnicę między nią a mężczyzną.“

Takie są pragnienia obozów postępowych; ale czy rzeczywistość odpowiada choć w części tym pięknym hasłom? Aby się o tem dowiedzieć, zajrzyjmy do kodeksu włoskiego. Tu widzimy, że położenie kobiety we Włoszech nie należy do najświetniejszych. Obecnie pełnoletnim, bez różnicy płci, zostaje każdy z ukończeniem dwudziestu jeden lat. Za czasów arcyksięstwa Toskanka nazywała się wprawdzie pełnoletnią w tym samym wieku co i teraz, ale nie wychodziła z pod władzy ojca do czterdziestego roku życia. Prawodawstwo włoskie, na tej zasadzie, że kobieta wcześniej wstępuje w związek małżeński, niż mężczyzna, obdarzyło ją cennym przywilejem, którego odmówiło temu ostatniemu: doszedłszy do pełnoletności, kobieta nie zależy od nikogo w wyborze męża, gdy tymczasem mężczyzna do dwudziestu pięciu lat nie może się ożenić bez woli rodziców. O ile dla niezamężnej kodeks włoski jest przychylny, o tyle dla mężatki okazuje się bardzo srogi. Matce np. wprawdzie przyznaje władzę rodzicielską, lecz z zastrzeżeniem, że nie może jej używać chyba w razie cywilnej lub fizycznej śmierci ojca. Również bezwładną jest matka wobec ślubu dziecka; prawo żąda zezwolenia obojga rodziców, ale dodaje zaraz, że jeśli ci są niezgodni wystarcza pozwolenie ojca. Mężatka nie może obdarowywać, sprzedawać nieruchomości, obracać kapitałami, bez mężowskiego upoważnienia. Na żonę spada obowiązek utrzymywania męża, choćby on sam był winien nędzy, w jaką popadł. Mąż nie ma prawa strwonić majątku żony, ale do niego wyłącznie należy administracya i korzystanie z procentów, a żona może tylko wtedy upomnieć się o swą własność, jeżeli mąż nie jest w możności utrzymania rodziny. Jako spadkobierczyni, kobieta znajduje się w tych samych warunkach, co i mężczyna. Córka dziedziczy na równi z synami; żona ma te same prawa do majątku zmarłego męża, co mąż do majątku zmarłej żony. W tym jednak względzie kodeks Włoski jest bardzo szczodry dla dzieci. Albowiem, jeśli zmarły pozostawia dzieci prawe, małżonek lub małżonka pobierają tylko procenta od sumy równej spadkowi poszczególnemu każdego z dzieci; w żadnym zaś razie dożywocie nie może przenosić czwartej części całego majątku. Jeśli do spadku przystępują dzieci nieślubne lub bracia, siostry i ich potomstwo, trzecia część majątku przechodzi na własność żyjącego małżonka lub małżonki. Krewni aż do szóstego stopnia dziedziczą jedną trzecią majątku, i tylko jeśli ich niema cały spadek dostaje się pozostałemu mężowi lub żonie. Kobieta nie może brać udziału w radzie familijnej ani być opiekunką; wyjątek stanowią matka i ciotka; ta ostatnia jednak musi być niezamężna. W dodatku głos kobiecy nie jest decydujący, a dopuszczenie jej do opieki zależy od rady familijnej. Żona obejmuje kuratelę nad mężem, uznanym za niezdolnego do rozporządzania majątkiem. Cudzoziemka, poślubiająca Włocha, staje się obywatelką włoską, i nie traci tego charakteru, owdowiawszy.

Wiadomo, iż we Włoszech obowiązuje ślub cywilny, który nie uznaje rozwodu pod żadnym pozorem. Następujące powody usprawiedliwiają żądanie seperacyi: 1) sprzeniewierzenie się żony albo niewierność męża, obciążona trzymaniem kochanki w domu, lub inną okolicznością krzywdzącą prawowitą małżonkę, 2) dobrowolne opuszczenie domu małżeńskiego, 3) nadużycia, obrazy cielesne, groźby, słowa znieważające, 4) skazanie jednego z małżonków na karę kryminalną, 5) nieusprawiedliwiona odmowa męża obrania stałego miejsca pobytu. Przystępując do kroków seperacyjnych, małżonkowie muszą się udać osobiście do prezydenta sądu, który obowiązany jest skłonić do zgody zwaśnione stadło: poczem żona otrzymuje wyznaczenie mieszkania, a nawet mąż może być wyrzuconym z domu małżeńskiego, jeżeli ten jest własnością nadposagową żony.

Do sądu należy postanowienie, przy którem z rodziców dzieci mają pozostać nadal, a nawet jak czasem, umieszczenie ich u osoby trzeciej lub w zakładzie wychowawczym. W razie gdyby wina okazała się po stronie męża lub była zobopólną, żona otrzymuje prawo zarządzania i używalności swego posagu; traci je natomiast na korzyść męża, jeśli wina jest po jej stronie. Nigdy jednak nie może użyć kapitału posagowego bez upoważnienia władzy sądowej. Majątek wspólny małżonków dzieli się na dwie połowy. Obecnie w parlamencie włoskim robią zabiegi o wprowadzenie prawa o rozwodach. Już w 1881 r. poseł Villa podał pierwszy projekt w tym względzie, żądając rozwodu tylko w bardzo ograniczonej liczbie wypadków. Niedawno poruszono znów tę sprawę, dzięki staraniom deputowanego Barenini. Nowy wniosek, po uprzedniem poprawieniu przez rząd, zyskał poparcie ministeryum. Tym razem powody, upoważniające do rozwodu, rozszerzone są do wszystkich okoliczności, które dotąd dawały pochop do procesów separacyjnych, z dodatkiem paru innych, jak choroby nieuleczalne i zaraźliwe, słabość umysłowa, trwająca przeszło trzy lata itd. W projekcie jest powiedziane, że pomiędzy wydaniem wyroku a chwilą, kiedy ten staje się ważnym, powinno upłynąć pięć lat. jeśli małżonkowie mają potomstwo, a trzy lata, jeśli go nie mają. Połowa majątku rozwiedzionego stadła ma się stać własnością dzieci. Projekt ten wzbudził we Włoszech ogromne zajęcie i ma za sobą wszystkie żywioły postępowe i umiarkowane, a tylko zachowawcy są mu przeciwni.

Prawa cywilne kobiety są bardzo ograniczone. Kobieta nie może być sądzią polubownym, świadkiem przy spisywaniu testamentu, ani przy aktach stanu cywilnego, nawet gdy zachodzi tego nagła potrzeba, jak np. na okrętach; wypadkowo otrzymuje ten przywilej w okolicach dotkniętych morowem powietrzem lub inną epidemią. Paragraf 2092 kodeksu cywilnego zabrania kobiecie, nietrudniącej się publicznie kupiectwem, podpisywania lub żyrowania weksli. Jako handlująca, może to czynić, ale nie zaciąga w ten sposób innej odpowiedzialności, jak tylko cywilną. Kobieta nie może wchodzić w spółkę, gdyż prawo, zbyt pieczołowite o jej cnotę, obawia się dla niej styczności ze wspólnikami. Kobieta może na równi z mężczyzną adoptować, obdarowywać, zapisywać testamentem, robić wszelkiego rodzaju kontrakty i zajmować się jawnie sprzedażą. Nie ma ona natomiast żadnych praw wyborczych. Kilka razy żądano w parlamencie, aby została dopuszczoną przynajmniej do głosowania na radców miejskich i powiatowych. Byłoby to tem sprawiedliwsze, że Lombardki korzystały już z takiego przywileju pod rządem austryackim, i dały dowód zupełnej dojrzałości politycznej. Zasłużyli się sprawie kobiecej posłowie Minghetti, Peruzzi i Lanza, którzy głosowali za prawem wyborczem kobiet.

Przepisy i postanowienia karne traktują kobietę na równi z mężczyzną. Jeśli przeto zważymy ograniczenie jej na innych polach i słabszy jej ustrój fizyczny, to trzeba przyznać, że taka surowa jednomierność wobec kary wyrządza krzywdę istocie zawsze upośledzonej i pod każdym innym względem uważanej przez prawodawstwo za nieletnią lub nieodpowiedzialną. Za kobietą, wystawioną na całą srogość kodeksu karnego, ujęło się we Włoszech wielu wybitnych socyologów i polityków. Jedni, jak Cassaro, są zdania, że w stosunku do kobiety trzeba przyjąć zmniejszenie samej istoty zbrodni; inni, a z nimi Ellera, utrzymują, iż nie można przypuścić, aby kobieta nie zdawała sobie sprawy ze swych postępków równie jasno, jak mężczyzna, i że tylko przez wzgląd na jej siły należy stosować karę łagodniejszą.

Bardzo żywotną kwestyą jest ochrona kobiet przed wyzyskiem fabrycznym, tem żywotniejszą, że ogromna ich ilość oddaje się pracy zarobkowej. Samo tkactwo zatrudnia przeszło półtora miliona kobiet. Z przemysłu tytuniowego żyje jedenaście tysięcy robotników, wśród których kobiet jest ośm tysięcy. Przy fabrykacyi zapałek znajduje zajęcie dwa tysiące robotnic, a zaledwie tysiąc mężczyzn. Nawet do ciężkich i niezdrowych robót kopalnianych czwarta część pracowników rekrutuje się z kobiet. Wszystkie te robotnice są obciążone nadmiarem pracy, a wynagradzane tak marnie, że wprost trudno temu wierzyć. W wielu fabrykach tkackich dzień roboczy trwa od 12 do 18 godzin, a zapłata wynosi zwykle 75 centymów włoskich, a tylko wyjątkowo 1 fr. 25 ct. Ale bywa i gorzej. Podczas świętowania tkaczów w r. 1897 okazało się, że w prowincyi Bergamesco na tysiąc siedemset robotników było tysiąc sto kobiet, które pracowały od czwartej rano do ósmej wieczór, dostając przeciętnie dziewczyny 43 centymy, a mężatki 40. Nierówność płacy stąd pochodziła, że właściciel fabryki chciał mieć z góry zwrócone straty, mogące wyniknąć z przypuszczalnych przerw w czasie połogu.

Ciężkie także jest życie kobiet, zatrudnionych na plantacyach ryżu. W pracy nad siły, wśród najopłakańszych stosunków zdrowotnych, dziesiątkowane przez febrę kobiety te, nawet nieletnie, wyjęte są z pod wszelkiej opieki prawa, gdyż rozporządzenia z r. 1886, dotąd obowiązujące, nie stosują się do najmitów rolnych. Jak

*) Początek patrz nr. 2 z r. b.

mało prawodawstwo włoskie uczyniło dla pracującej kobiety, świadczy nowy projekt prawa, przedstawiony przez ministra Carcano a mający na celu obronę dzieci i kobiet, zajętych w fabrykach: jedyna ulga, jaką minister uznał za możliwe przyznać kobiecie pełnoletniej, jest zabronienie przyjmowania jej do pracy przed upływem dwudziestu ośmiu dni po połogu. Wszystkie inne paragrafy zajmują się tylko nieletnimi. Energiczniejsze są środki zaradcze, objęte wnioskiem prawa, podanym w 1901 r. przez lewicę skrajną. Wyklucza on przedewszystkiem kobietę od zajęć w podziemiach. Następnie nakazuje, aby jej dzień roboczy nie przenosił ośmiu godzin i aby nie była używaną do pracy nocnej. Postanawia sześciotygodniowy odpoczynek przed i po połogu; a na utrzymanie kobiety przez ten czas dekretuje założenie kasy macierzyńskiej, której fundusz ma powstać z zapomogi rządowej, ubezpieczeń robotnic, obowiązujących dla tych, którzy je najmują, z kar płaconych za wykroczenia przeciw prawu i ze składek dobrowolnych pracownic. W dodatku projekt ten obejmuje wszystkie zatrudnienia płatne, tak przemysłowe, jak rolne. Gdyby parlament zechciał uchwalić te wnioski, byłby to ważny krok na korzyść kobiet pracujących. Obecnie muszą one mozolnie, własnemi siłami zdobywać wszystko. W tym celu powstały liczne związki robotnicze, niewieście, które, łącznie z podobnemi stowarzyszeniami męzkiemi, starają się o wywalczenie lepszej doli dla pracujących po fabrykach. Związki te mają zwykle zabarwienie polityczne i są pod opieką stronnictw radykalnych. Należące do skrajnej lewicy, biorą udział w walkach przedwyborczych, przyjmują na siebie znaczną część drobnej propagandy, a w zamian za to kobiety głosują w łonie partyi na kandydatów do wyborów, którym przedstawiają swe żądania i zażalenia.

Trzeba podziwiać niepospolitą wytrwałość tych kobiet, które, pomimo tylu ograniczeń, potrafiły zdobyć wybitne stanowiska. A kobiet tych jest liczba pokaźna.

M. Rygier.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

—✦—

Panowie — pracują.

Nie przypuszczaliśmy doprawdy, aby *Kuryerek Świąteczny*, nawet po sprawieniu sobie utytułowanego redaktora i zaprowadzeniu działu rozpraw, traktujących u nas po raz pierwszy z należytą powagą doniosłe zagadnienia frakowo-smokingowe, mógł tak odrazu z wesołego pisemka brukowego przekształcić się w poważny organ myśli społecznej. Jak dalece byliśmy w błędzie — niech zaświadczy krótki wyjątek z zamieszczonego w nim opisu wspaniałej uczty, którą jeden ze złotych młodzieńców warszawskich przyjmował niedawno w balowej sali Bristolu swych przyjaciół klubowych, należących naturalnie razem z nim do „najpierwszych rodów naszych."

„Obiad był na 50 osób, a okazał się tak wyjątkowym we wszystkich swoich najdrobniejszych szczegółach, że obecni długo wspominać będą gościnność miłego gospodarza i staranną wytworność przyjęcia. Podano przedewszystkiem na osobnym stole zakąski, przeszło *sto* gatunków. Ogólną uwagę zwróciły wykwintne, świeże homary *Winthertur*, *mignonette'y* z jarząbków, oblane winem *Romanée conti* z 1822, trufle w szampanie i wiele innych przysmaków, które miały u biesiadników wielkie powodzenie i zdobyły sobie jednogłośne uznanie."

Żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam przepisać za organem hr. Ronikiera całego *menu* tego „wyjątkowego" obiadu, niech nas jednak usprawiedliwi okoliczność, iż, niezależnie od owych stu gatunków zakąsek, spis potraw, podanych przedstawicielom „najpierwszych rodów naszych," wynosi *dwadzieścia cztery* wiersze druku. Z konieczności więc poprzestać musimy na zaznaczeniu, że po tem skromnem pokrzepieniu sił nadwątlonych wszyscy biesiadnicy „wstali od stołu w najlepszych humorach, zachwyceni wytwornością kuchni i starannością podania, dziękując serdecznie miłemu gospodarzowi za tak wyjątkowe przyjęcie." Przyznać trzeba, że stojąc z taką godnością na straży najpiękniejszych tradycyj naszych z epoki, gdy do pierwszych cnót szlachcica polskiego należała umiejętność jedzenia, picia i popuszczania pasa, ma się prawo zupełne do nazwy organu poważnego, spełniającego godnie swój obowiązek społeczny. Nie wątpimy, że znajdziemy w nim równie szczegółowy i piękny opis owego balu prywatnego, nad którym rozdziera szaty łagodna z natury *Gazeta Polska*, nie mogąca zrozumieć, że wydanie dwudziestu kilku tysięcy rubli na bal, w tem paru tysięcy na sprowadzone z Paryża przybory do kotyliona — to przecież oczywisty dowód, że społeczeństwo — mimo wszystko — zachowało w całej pełni dobry humor i — fantazyę ognistą...

wb.

Ospałość.

Łódzka wystawa spożywczo-hygieniczna uwydatniła jeszcze raz, i prawdopodobnie nie ostatni, naszą ospałość w traktowaniu spraw społecznych. Kiedy czytamy w sprawozdaniach wzmianki o depeszach z Pragi, o dowodach zajęcia się tą wystawą, dochodzących z Francyi i Belgii, opisy wystawców z Galicyi itp., zaczynamy szukać mimowoli i bliżej oznak żywszego zainteresowania się tą pierwszą wystawą, urządzoną na większą skalę przez żywioł krajowy na gruncie, uważanym do niedawna za niezdobytą placówkę germańską w naszym kraju. I szukamy nadaremnie. Okrzyczane wycieczki zbiorowe na wystawę gości warszawskich zgromadziły wprost śmiesznie małą liczbę uczestników; z okolic Królestwa, po za Łodzią, uderzał zupełny niemal brak wystawców, udział firm warszawskich był również mniej, niż nieznaczny, Zagłębie nie było prawie reprezentowane, a co najważniejsze, Piotrków, najbliższy Łodzi z miast większych Królestwa, pomimo nawoływań *Tygodnia*, świecił zupełną nieobecnością. Ospałość taka ogółu naszego razi tembardziej, że wystawa łódzka, urządzona i zareklamowana umiejętnie i, co rzadko się zdarza, bardzo taktownie, odbijała nader korzystnie od licznych ostatnimi czasy t. zw. wystaw warszawskich, a właściwie od przereklamowanej i okrzyczanej a pokrewnej cokolwiek wystawy kucharskiej.

f.

Jeszcze o emigracyi.

Uchwalenie prawa, zabraniającego analfabetom wstępu w granice Stanów Zjednoczonych, jest już tylko kwestyą czasu. Pozornie chodzi niby o powstrzymanie napływu szkodliwych jakoby dla państwa jednostek, jakkolwiek nieprawdą jest, żeby analfabetyzm szedł zawsze w parze z nizkim poziomem moralnym. Faktycznie zaś prawo to ma na celu niedopuszczenie do Stanów pierwiastków niemiłych pod względem rasowym, religijnym i kulturalnym panującym tam żywiołom, to znaczy yankesom, Irlandczykom i coraz potężniejszym Niemcom. Rzecz jasna, iż ostrze jego zwrócone jest przeciwko ludom rasy łacińskiej i słowiańskiej, dostarczającym, niestety, najpoważniejszej ilości analfabetów. O ile jednak trzeba nad tym faktem ubolewać, jako nad objawem, zaprzeczającym ideałom prawdziwej wolności, którą dotąd szczyciła się Ameryka Północna, to skądinąd nie jest to takiem znowu nieszczęściem. Dla nas w Stanach niema przyszłości narodowej, jest tylko nieuniknione zatonięcie w morzu amerykańskiem, więc konieczności obecnych naszych warunków, które nas pchają na bezdroża wychodźstwa, tak powinniśmy pokierować, ażeby w nowej ojczyźnie można było zachować pamięć o starej. Dlatego powtarzamy to, cośmy już niejednokrotnie powiedzieli, że sprawą wychodźstwa powinni się zająć ludzie energiczni i rzeczy świadomi, ażeby nadać mu organizacyę i właściwy kierunek.

w.

Jeszcze sprawa węglowa.

Bolączce tej naszej, wskutek nadejścia niespodziewanych odwilży, mniej chwilowo dolegającej, poświęca kilka słów energicznych p. S. W. w *Kuryerze Sosnowickim*. Zaznaczywszy stwierdzenie przez większość publicystów naszych istnienia syndykatu węglowego, czyli, mówiąc poprostu, zmowy producentów węgla, p. S. W. mówi z naciskiem, że wszelkie środki, przedsiebrane obecnie dla zażegnania sprawy, są co najmniej połowiczne; jedynie samopomoc spożywców, która sile zrzeszonej zdoła przeciwstawić również siłę, odpowiednio zorganizowaną, może, zdaniem jego, mieć tu poważniejsze znaczenie. Zrzeszeni spożywcy winni, według autora, dążyć do wpływu na przebieg sprawy węglowej, a przedewszystkiem uprzedzać wypadki i zdarzenia. W urzeczywistnienie owego projektu autor wierzy, gdyż, jak twierdzi, „przywykać poczynamy do pójścia zwartą ławą i łatwiej nam o skupianie się i grupowanie."

Zaznaczamy ten głos, skierowany przedewszystkiem do mieszkańców Zagłębia, życząc mu gorąco odbicia we wszelkich zakątkach kraju. Zbyt długo nie odczuwaliśmy potrzeby zrzeszania się i „pójścia ławą," wskutek czego powstały nawet legendy o naszym jakoby wstręcie „do idei stowarzyszań," a „polska niezgoda" omal nie została uświęcona przez mądrość narodów — przysłowie. Dziś z ręką na sercu możemy śmiało powiedzieć, iż jest pod tym względem lepiej, a cyfry wykazywać zaczynają nasze dążności i zdolności do wystąpień zbiorowych. Są jeszcze braki poważne, ale jest lepiej, niż było, i miejmy nadzieję, że na drodze tej się nie wstrzymamy.

d.

Zużytkowanie śmieci.

Jakkolwiek Warszawa nie jest miastem bogatem, to jednak na ulicach i podwórkach warszawskich leżą bezużytecznie dziesiątki, a może nawet i setki tysięcy rubli w postaci śmieci, które, odpowiednio przerobione, mogłyby dostarczyć rolnikom podmiejskim bardzo dobrego nawozu, a ruchliwym kapitalistom, umiejącym łączyć pożytek ogółu z własnym dobrze zrozumianym interesem, znacznych dochodów. Wobec tego, iż magistrat ze względów zdrowotnych postanowił całą tę masę śmieci palić, powstał projekt założenia przedsiebiorstwa, które zrobiłoby z nich użytek, uwzględniając przytem wymagania hygieny publicznej, tj. dezynfekcyę. Prócz tego towarzystwo przyjęłoby na siebie obowiązek wywożenia w zimie śniegu, uwalniając tym sposobem miasto od znacznego, a pomimo to złemu dostatecznie nie zapobiegającego wydatku, gdyż po spadnięciu obfitszego śniegu musimy czekać długo na oczyszczenie ulic nawet w środku miasta, w dalszych zaś dzielni-

cach czarne, zbrukane kopce tworzą szeregi upiększające chodniki przez całą zimę. Należy przypuszczać, że magistrat w interesie miasta nie będzie robić trudności powstającemu przedsiebiorstwu, którego rozwój może przynieść ogółowi wielostronne korzyści. *wcz.*

BADANIA NAUKOWE.

Instytut socyologiczny w Brukselli.

(Dokończenie).

Celem instytutu jest dawanie pewnej liczbie badaczy możności prowadzenia samodzielnych badań w dobrze urządzonych laboratoryach; prace ich ogłaszane są w *Travaux* instytutu, wydawnictwie nieperyodycznem. Obecnie pracują np. stale w tym instytucie panie dr. Józefina Joteyko i dr. Michalina Stefanowska (mianowana w r. b. docentką uniw. genewskiego). Solvay i tu co prawda ma pretensye do nadawania kierunku całej działalności instytutu swego imienia, do zakreślania mu ogólnych zadań: mam właśnie przed sobą jego broszurkę *), wydaną w tej myśli. Próbuje on tu ująć w formuły matematyczne *wydajność* każdego organizmu ludzkiego, najpierw — indywidualnie-pożyteczną, potem — i społecznie-pożyteczną; w tej ogólnej energetyce, którą próbuje zastosować — ale zbyt pobieżnie— do teoryi wartości, której objaw widzi i w dążeniu społeczeństw do jak największej wytwórczości, tkwić ma myśl przewodnia obu fundacyj. Tym razem Solvay (o ile mamy tu do czynienia z pracą samodzielną) mówi rzeczy słuszne, ale ogólnikowe i jałowe. Tego rodzaju formuły, dzięki swemu ogromnie naukowemu wyglądowi, nęcą właśnie najbardziej dyletanta; ale nietylko są one tworzone wyłącznie *a posteriori*, lecz także zupełnie — w tym wypadku przynajmniej — pozbawione wartości heurystycznej (odkrywania nowych zjawisk). To jednak właśnie czyni je — i cały „energetyczny“ program Solvay'a — nieszkodliwymi; prace instytutu fizyologicznego mogą być i są od niego zupełnie niezależne. Z instytutem socyologicznym zaszła rzecz nieco gorsza.

Solvay po pewnym czasie zaczął być niezadowolonym ze swych współredaktorów i zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że antagonizm ideowy między nimi a nim załagodzić się w końcu nie da. Lecz wciąż jeszcze nie rozwiązywał z nimi stosunku; przeciwnie, prosił ich o przyjęcie stanowiska dyrektorów w nowym instytucie socyologicznym, który miał założyć na wzór fizyologicznego, z dołączeniem jednak jeszcze trzech nowych dyrektorów, wziętych z grona liberalnych profesorów uniwersytetu „Wolnego.“ De Greef, Denis i Vandervelde zgodzili się na to, i tak rzeczy stały, gdy rada miejska brukselska, w której ich przyjaciele stanowią poważną grupę, przyjęła dar i propozycye Solvay'a. Zaraz jednak po zapadnięciu tej uchwały Solvay zerwał dawną prywatną umowę i zaproponował wyżej wymienionym uczonym tylko podrzędne stanowisko „współpracowników“ instytutu, oddanego pod zarząd jednego dyrektora, prof. Emila Waxweilera, podzielającego jakoby zupełnie poglądy fundatora. De Greef, Denis i Vandervelde odrzucili tę nową propozycyę i zerwali wszelkie stosunki z Solvay'em i z instytutem socyologicznym.

Te nieprzyjemne dzieje powstania nowego instytutu nie powinny jednak z góry zrażać nas do niego na przyszłość. Wprawdzie statut jego głosi, że prace, w nim przedsiebrane, mają dotyczyć *głównie* zagadnień teoretycznych i praktycznych, poruszonych przez Solvay'a w jego memoryałach o „systemie wytwórczo rachunkowym,“ ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że jakkolwiek głęboko sam fundator może być przekonany o przejęciu się nowego dyrektora jego pomysłami, to jednak siłą rzeczy pozostaną one faktycznie na drugim planie, a zasoby instytutu służyć będą uczonym różnych szkół i stronnictw do najrozmaitszych badań w całej dziedzinie nauk społecznych. Tenże statut głosi, że celem instytutu jest dostarczanie specyalistom środków badania zjawisk społecznych *z wszelkich stanowisk*, i że zapewniona im jest zupełna swoboda badania i przekonań. Przypatrzmy się przedewszystkiem, czem jest właściwie nowy instytut, zbudowany kosztem Solvay'a na gruncie, nadanym przez miasto, które też po latach 25 obejmie zakład ten na własność i uwolni fundatora od obowiązku łożenia 25,000 fr. rocznie na utrzymanie zakładu (co nie obejmuje pensyi dyrektora). Instytut, który szczegółowo zwiedziłem, jest to ładny pałacyk, wznoszący się w parku Leopolda, tuż obok instytutu fizyologicznego im. Solvay'a. Zawiera on wewnątrz przedewszystkiem — bibliotekę, która składa się na początek, co prawda, tylko z 7,000 tomów, ale starannie dobranych (w językach głównie: niemieckim, angielskim i francuskim). Biblioteka posiada też wszystkie ważniejsze pisma peryodyczne, zajmujące się naukami społecznemi, i to od początku ich istnienia, przyczem wszystkie artykuły są skatalogowane podług autorów i podług tematów. Dalej — mamy w instytucie cztery gabinety: antropologiczno-etnologiczny z dość bogatym zbiorem czaszek i odlewów, statystyczny — z maszynami, dyagramami itd., technologiczny, zawierający w medalach, fotografiach itp. dane co do stanu i rozwoju techniki przemysłowej i komunikacyjnej, wreszcie — historyi ekonomicznej, gdzie zebrano źródła i dokumenty. Instytut pozostaje w związku z uniwersytetem „Wolnym“ o tyle, że niektóre kursy i seminarya tego uniwersytetu i ufundowanej przy nim również przez Solvay'a szkoły nauk społecznych, związane z powyższymi gabinetami, odbywają się w instytucie; ale związek ten jest luźny, instytut bowiem ma na celu służyć nie studentom, lecz przedewszystkiem — samodzielnym badaczom. Istnieje więc w nim, wokół sali bibliotecznej, dwanaście urządzonych wygodnie gabinetów, pracowni, które dyrekcya lubi porównywać do „cel nowożytnego klasztoru Benedyktynów“ i przeznacza dla badaczy, którzy już mogą wykazać się stanowiskiem naukowem lub pracami poprzedniemi. Kandydat obowiązany będzie złożyć dyrekcyi deklaracyę, nad jakim tematem zamierza pracować, i krótką notatkę o swych poglądach na zagadnienie i planach badania. Do ich przeprowadzenia otrzyma on jedną z pracowni na czas formalnie nieoznaczony. Może korzystać z niej wyłącznie, dzień cały i wieczorem, a jednocześoie z całej biblioteki i zbiorów, bez żadnej zupełnie kontroli, ze swobodą nieograniczoną; dyrekcya obiecuje starać się o brakujące a potrzebne książki. Wobec instytucyi zaciąga on jedno jedyne, i to nie bezwarunkowe, zobowiązanie: wydrukowania swej pracy w nieperyodycznych *Notes et mémoires de l'Institut Solvay: Sociologie*, które zresztą mają płacić dobre honorarya. Prócz *Notes et mémoires* dyrekcya zapowiada jeszcze wydawanie *Annuaire sociologique*, rocznika, poświęconego przeglądowi krytycznemu dzieł i wydawnictw socyologicznych; wreszcie w miarę potrzeby wychodzić mają nakładem instytutu i całe książki.

Dyrektor instytutu, p. Emil Waxweiler, jest z zawodu inżenierem oraz profesorem statystyki w uniwersytecie „Wolnym.“ Był on też dyrektorem departamentu statystycznego w ministeryum spraw wewnętrznych, lecz porzucił to wysokie stanowisko, aby się poświęcić wyłącznie instytutowi. Fundator dodał mu następnie pięciu stałych współpracowników: są to pp. Ansiaux, specyalista w dziedzinie geografii ekonomicznej i zagadnień obrotowych, Des Marez, wybitny historyk gospodarstwa społecznego, E. Houzé, antropolog, A. Prins, kryminolog, i L. Wodon, zajmujący się prawodawstwem pracy i wogóle nowożytną kwestyą społeczną. Prócz tego asystent, p. De Leener, poświęca się specyalnie zagadnieniom z dziedziny technologii ekonomicznej. Już z tego widać, że instytut stara się objąć różne dziedziny socyologii, jako syntezy nauk społecznych, i nie wyklucza żadnej. Sześć pracowni więc jest już i będzie stale zajętych, a w przyszłości zbudowane pewno będą jeszcze trzy nowe. Wszyscy powyżsi członkowie dyrekcyi są profesorami liberalnego uniwersytetu „Wolnego“ i nie da się zaprzeczyć, że w ten sposób, szczególnej w świetle zerwania z poprzednimi współpracownikami Solvay'a, dyrekcya ta ma wyraźny, jednolity, partyjnie-liberalny charakter. Wydaje mi się jednak niemal pewnem, że sam zakład nie będzie instytucyą partyjnie-liberalną, ani wogóle nie będzie służył wyłącznie żadnemu stronnictwu, ani szkole, lecz — zgodnie z założeniem swojem — dopuszczać będzie badaczów poważnych, bez względu na ich narodowość i przekonania. Leży to bowiem w interesie całej instytucyi, a wydaje mi się pewnem, że dyrektor, p. Waxweiler, człowiek energiczny, zręczny, interes ten zrozumie. Tymczasem — żałować bez wątpienia możemy i musimy, że bogaty fundator nie poprzestał na zaszczytnej przecie roli człowieka, oddającego społeczeństwu bogactwo, ze społecznych źródeł powstałe, że chciał koniecznie — śladem plutokratów amerykańskich, fundujących uniwersytety — narzucić swą wolę i swe niedość naukowe poglądy; że wskutek tego od instytucyi odsunąć się musiały siły naukowe tak poważne, jak De Greef, Denis, Vandervelde, a przez to samo — i ich bezpośredni przyjaciele; ale pomimo to samą instytucyę witamy życzliwie. Zapewnienie zupełnej swobody pracy, środków pomocniczych do niej i pewnego materyalnego odszkodowania poważnym badaczom zjawisk społecznych, bez względu na ich narodowość i przekonania — to myśl piękna i — jak dotychczas — jedyna w swoim rodzaju!

Dr. K. Krauz.

*) *Note sur les formules d'introduction à l'énergétique physio et psycho-sociologique.* Bruxelles, Lamertin, 1902.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Bronisława Ostrowska (Edma Mierz): *Opale.* Poezye. Warszawa.

Na strojnej i misternymi haftami okrytej szacie współczesnej poezyi polskiej, z drogiej materyi usnytej, w słońcu mieniącej się, w zmierzchu najsubtelniejsze wonie w powietrzu rozpylającej, klejnotami zdobnej, błysły oto teraz śliczne a połyskliwe „opale,“ rzucone ręką p. Bronisławy Ostrowskiej. Z uwagi na

dykcyę, barwy, płynność i dźwięczność wiersza, kapryśność i swobodę formy zwrotkowej poetka, której pierwszy zbiorek mamy dopiero przed sobą, chyba już dziś na żadne współczesne wzory zapatrywać się nie potrzebuje. Posiada niewątpliwie poczucie muzykalności słowa, posłusznego jej skinieniu, ale jeszcze w wyższym stopniu posiada malarską i rzeźbiarską wyobraźnię, i to właśnie czyni jej styl tak wykwintnym i barwistym, często oryginalnym, a nigdy wymuszonym, nigdy sztucznym; celem mu nie narcyzowa piękność, jak to się dziś nieraz zdarza; jest on tylko draperyą, osłaniającą, lecz i uwydatniającą ukryte kształty; prócz tego przesycony uczuciem... Wszystko to razem nadaje opalom szlachetny i ciepły połysk, czyni z nich owoc prawdziwej poezyi, rzetelnego natchnienia.

Jakież to kształty i jakie uczucie?

Co do pierwszych — utwory p. Ostrowskiej dają nam szereg obrazów i widzeń często oryginalnych (niekiedy może cokolwiek ztetmajerzonych: melancholijne bagna, zaklęte jeziora itp.), a zawsze pięknych. Są tu „sielanki“ w słońcu skąpane, brzęczeniem złotych pszczół głośne, radosnym śmiechem rozjaśnione, częściej wizye lęków cmentarnych, zamglonych jesiennych krajobrazów, wizye śmierci, czołgających się „po bruzdach czarnych wszerz przez ugorny, drętwy ścież,“ wśród ciszy takiej, co nie jest ciszą rozkosznych uniesień, lecz taką „co kwiaty i zioła gnie zmartwiałe pod jesień,“ co jest „taka głęboka gnębiąca, że myśl w mroku nie szuka już słońca.“ A tam nad puste cierniska i ugory odlatują żórawiane klucze, a wślad za niemi idą zaklęte w pieśni westchnienia poetki. „Pamiętam... życie mi zbiegło tak prawie, Jak te żórawie we mgły odlatujące.. Jak te żórawie...“ Już odgadujemy poniekąd, jaki kierunek wezmą uczucia i wyobraźnia poetki. Jeszcze tylko chwilę wsłuchajmy się w tę oto kołysankę. „Śnienie,“ to będzie. „Czyś topił oczy w lazurowym niebie, Gdy czar miesięczny tchnie wśród pól gwiaździstych? Czy wielką falą blasku szło z błękitu w ciebie Powietrzne zadumanie owych sfer przeczystych? Czy znasz ten wielki smutek, co wieje przestworzem? Czy błękit skrył ci kiedy przed oczami ziemię? Tak umęczony żóraw w przelocie nad morzem, Na wietrze kładąc skrzydła, na chwilę zadrzemie.“ Z rzeczywistości autorka bierze niemal wyłącznie tęsknotę, gorycz, żal... błoga zaduma jest jej schroniskiem. A jednak chociaż „śnienie“ ogarnia ją często, nie jest to tylko jedno jeszcze rozmarzenie wobec poszumów, pogwarów, miesięcznych lśnień itp., których już mamy do syta, bo poetka z tęsknoty tej żalu i zadumy stwarza światy swoje, świetlane niekiedy tylko, kryształne prawie zawsze; prowadzi nas w mistyczne przestwory, kędy nad szlakami mlecznymi jest żywa krynica. Nad nią duchy się pochylają, pijąc blaski zaświatowe, by tu na ziemi w śnie nieuchwytnym, przechowywać wspomnienie lazurowej krynicy, skąd do duszy przyszło umiłowanie. I poprowadzi nas autorka nad samotne jeziora: tam w śpiewnej topieli wlecze się „wyklęte życie i dola wyklęta,“ tam włada bolesny żal, a ręce wyciągają się z nieuleczalną tęsknotą ku ziemi, ku słońcu, ku pieśniom skowrończym i majowemu ranu, ku tym siołom: gdzie żywa miłość, i żywą krwią barwią się lica, gdzie rozkosz, i walka, i czyn...... I szkoda nam będzie umęczonego lotem szarego ptaka, który spadł między trzciny i szuwary „aż go tak wpatrzonego w podobłoczną stronę zwolna wchłonęły w siebie bagienne moczary“; szkoda młodej mniszki, co pod ciepłą falą słońca odsłoniła głowę i pręży młode ramiona w słonecznej spiekocie... Poetka daje głos wszystkiemu, co woła: ach, żyć pełną piersią...; odczuła niedolę „życia wyklętego,“ melancholię zapomnianych grobów wobec szumiącej, w bezmiar idącej fali, którą niekoszona trawa się kołysze, garnąc się w blask słońca i ciszę...

Czy zmatowieją te opale, dziś odosobnione, czy też utworzą wzór, w którym cząstka bezmiaru przeglądać się będzie? Pragniemy tego. Pragnęlibyśmy także, by autorka za ostatnią nutę przyszłej pieśni swojej nie dała tak pospolitej „Pospolitości,“ jak to obecnie się stało. Przed pospolitością szuka autorka schronienia aż w lesie czarodziejskim, gdzie palmy i liany, aż tu... „Jakto! więc i tu ludzie już przedemną byli?“ Sądziłbym także, iż pewną powściągliwość zachować należy w szafowaniu słowem „ogromnie.“ „Ja ciebie cicha widzę już I pragnę cię ogromnie...“ Jest pewna przykra naiwność w ogromności tej, coś niby pensyonarskie: „okropnie lubię.“ Drobiazgi to, ale przecie niech i tych nie będzie.

A. Drogoszewski.

Konstanty Meunier.

Konstanty Meunier, który owoce swej kilkunastoletniej pracy artystycznej — przeszło sto pięknych dzieł dłuta i pędzla— wystawił niedawno w sali „Klubu artystycznego“ (*Cercle artistique*) w Bruksellí, jest przedewszystkiem nawskroś artystą pracy — pracy fizycznej i jej wykonawców.

Zapewne, talent jego nie ogranicza się wyłącznie do tego przedmiotu. Na wystawie znajdował się cały szereg popiersi portretowych, umiejętnych, silnych i wyrazistych; znajdowały się płasko rzeźbione medaliony dziecięcych główek, pełne wdzięku i finezyi. Siła, rozmach niepospolity ożywiały postać szalonej Walkiryi, pędzącej na koniu, który aż przechylił się w zawrotnym biegu. Były tu i melancholijna płaskorzeźba pustelnika, zatopionego w ascetycznej modlitwie, i cicha, jakby bezmyślna, w grube szaty otulona zakonnica, i grecki filozof. Wieczne wcielenia bólu: Chrystus i Matka Ukrzyżowanego — nęciły również artystę. Jego głowa Chrystusa mogłaby w zbiorze tylu wizerunków Nauczyciela, stworzonych przez artystów starych i nowych, zająć poczesne miejsce: co ją odznacza, to niedostrzegalna zrazu, a jednak głęboka ironia, bolesne wykrzywienie ust, z jakiem patrzy na ten „boży świat.“

Boży świat zaiste! Ten się wyraża w owym długim szeregu dzieł, poświęconych przez Meuniera pracy i jej przedstawicielom, jej — powiedzieć możemy — męczennikom.

Powiedzieć to możemy, bo widocznie, oczywiście, chce to w postaciach swych wypowiedzieć sam artysta. Dość spojrzeć na nie... Jednak nie jest to jedyna myśl przewodnia, która w rzeźbach robotniczych Meuniera przebija. Przeciwnie: widać ciągle, że chce on oddać dwie strony pracy, że pracę wogóle, a mianowicie pracę współczesną, dwojako, a nawet trojako jego indywidualność artystyczna ujmuje. Przedewszystkiem ma on kult pracy, ale to kult taki, tak szczery i gorący, jak Emil Zola. Rzeźby i obrazy Meuniera — to w innej formie „Travail“ i „Fécondité,“ ale także i „Germinal“ i „Terre“ Zoli. Gdy się patrzy na tę płaskorzeźbę „Żniwa,“ gdzie silne, muskularne i szlachetnością jakąś owiane postacie uwijają się wśród kłosów, wyższych od człowieka; na wspaniałego w swej postawie „Siewcę,“ co, stąpając po zagonie, szerokim ruchem rozrzuca ziarna; na „Pracowników morza,“ zapędzających konie w fale w poszukiwaniu traw itd., to znać, że artysta odczuł tu pracę, jako potęgę błogosławioną i żywiącą. Uczucia tego nie mąci w tych wypadkach nawet widok wielkiego, rzeczywistego, znojnego wysiłku. Przebija ono często w wielu akcentach różnych innych postaci. Jakby mówiły nam one: praca — to siła, to zdrowie, to myśl. Właśnie myśl. Jest wśród tłumu postaci Meuniera jedna, prawie tak piękna, jak „Siewca,“ może pod pewnymi względami piękniejsza — to „Wyładowywacz.“ Młody robotnik, który w porcie wynosi ciężary z okrętów, młody, zwyczajny robotnik w prostej koszuli i szarawarach, w niedbałej pozie stojącego wypoczynku, a zarazem lekkiego zamyślenia: doprawdy, że jest to tak piękne, jak gdyby jakiś Apollo pracy. Dziwna harmonia i naturalność kształtów; a głowa sama — arcydzieło, klasyczna głowa o rysach nieco nieregularnych wprawdzie, ale przez to właśnie prawdziwych, naturalnych, typowych i z rozlanym na twarzy wyrazem myśli, na jaką tylko ludzkość zdobyć się może. O kilka kroków dalej figurka robotnicy z kopalń, młodej dziewczyny w niedbałem, męzkiem odzieniu, jakie się przy tej robocie nosi, z głową przewiązaną chusteczką; podparła się w boki, przechyliła nieco w tył, i woła na towarzyszy pracy. Twarz nie tak opromieniona myślą, jak u poprzedniego mężczyzny, przeciwnie, trochę tępa, trochę zanadto uparta z ową szczęką nieco naprzód wysuniętą i nizkiem czołem, ale ciało — kształtność i siła! Istna Dyana-Pracownica, godna też zająć miejsce obok klasycznej Myśliwej. Nawet ciężki „Holownik“ na koniu, przysadzisty, krępy, w olbrzymich butach za kolana i kapeluszu o opuszczonych skrzydłach, przypominający nieco flamandzkich żołnierzy z XVI wieku, i ten tłomaczy przedewszystkiem, zdaje się, pracę, jako źródło i warunek siły — życia.

Ach, ale o ileż dłuższa, jakże tem bardziej wymowna i bolesna martyrologia! Te ciała Apollinów, Dyan i Herkulesów — jakże strasznie powykrzywiane i poniszczone w wysiłku nadludzkim, nieludzkim i zbyt ciężkim! Z tych twarzy przodowników, myślicieli, marzycieli i bohaterów, jakże spędzona myśl wszelka i zastąpiona tępością natężenia i zmęczenia! Trzy inne — oprócz „Żniwa“ — wielkie płaskorzeźby: „Kopalnia,“ „Huta“ i „Port,“ szczególnie ciężkie pod tym względem robiły wrażenie. Ci ludzie napół nadzy, wychudli, kościści, leżący nawznak pod węglową ścianą i odbijający jej. kawały dłutem i kilofem... Ta gromada, pogrążona w podważaniu strasznego jakiegoś drąga, przygnieciona ciężarem... Tu, w „Porcie“ — ha! to nasz Apollo, który przed chwilą strzelał w dal przebłyskiem geniuszu może — na schylonej głowie niesie niepomierny oto ciężar woru jakiegoś, tak samo, jak gdzieindziej ów „Tragarz“ z wielką płytą kamienną. Jakże bezkształtny i smutny ten szklarz, co przez długą rurę wydymać musi własną piersią szkła bańkę! Co za beznadziejność wieje z tej pary ludzi — starca i młodzieńca — co, zaprzężeni sami, zamiast wołów, do sochy, ciągną ją z pochylonymi grzbietami przez oporną rolę! Symbol... I tylu innych... Ten „Stary górnik“ i ten — „Stary koń“ — toż to rodzeni bracia... Nic ich nie różni; ta sama bezmyślność, to samo opuszczenie całej istoty. Górników mamy w najrozmaitszych postaciach i chwilach: Konstanty Meunier jest specyalnie ich artystą. Zjazd do kopalni: tępość na twarzach, ledwo przebudzonych, zda się, źle pokrywa utajony niepokój; wyjazd z kopalni, powrót do domów — ociężałość i brutalność... Meunier wystawił też dwa studya nie robotnicze: człowieka „Na torturach“ — biust tylko widzimy i głowę, biust wykrzywiony, wytężony, twarz z ustami rozchylonemi w jęku cierpienia. Prócz tego — „Rozbitka,“ który, siedząc w łodzi, zalewanej przez bałwany, ostatniem wytężeniem rozpaczy

wiosło im nadstawia. Otóż te uosobienia nieszczęścia, wysiłku ciała i ducha w nieszczęściu, doprawdy zaledwie pewnym drobnym odcieniem stopniowania dadzą się odróżnić od niektórych postaci górników i kowali, hutników i rolników przy pracy. I ci są jakby na torturach, jakby pod grozą śmierci... I „Ecce homo,“ związany powrozami, po czy przed biczowaniem, przy hańbiącym słupie, ma taki sam ogólny wyraz, jak oni... I doprawdy, nie przypadek to chyba, albo jeśli przypadek, to tembardziej objaw głębszej analogii — że grupa robotnicy, matki czy żony, nachylając się nad obnażonym prawie stężałym trupem ofiary wybuchu gazów, tak łudząco — linią i całym wyrazem — przypomina tamtą, z bronzu i kości słoniowej: Matkę Boską nad swym Synem... Belgijski artysta-chrześcianin, Wiertz, nie wyrzekłby się tego następcy.

Obrazy Meuniera dopełniają jego rzeźby o tyle, że oddają to, czego rzeźba oddać nie może: krajobraz i koloryt, tło ciągłego dramatu pracy. Wielki tryptyk „Górnicy,“ wędrówka „O świcie“ do kopalni, a szczególniej zadymiony, ponury krajobraz „Czarnego kraju“—Borinage, węglowej prowincyi Belgii, pod tym względem zasługują na uwagę. Jest też jeden „Most nad Tamizą,“ londyński obraz, który przypomina załośliwy wiersz Verhaerena:

Dans sa robe de feu et de poison,
Le cadavre de ma raison
Traîne sur la Tamise...

Naogół jednak biorąc, obrazy nie dosięgają wartości rzeźb.

Marzeniem Konstantego Meuniera jest, żeby na publicznym placu stanął jego „Pomnik pracy“ — apoteoza. Postacie poszczególne są wykończone, i miniatury ich zestawione w modelu pomnika. Jest to czworobok kamienny, na którego szczycie sieje swe ziarno „Siewca,“ boki zdobią cztery wielkie płaskorzeźby, „Żniwo,“ „Kopalnia,“ „Huta“ (mająca wyobrażać przemysł) i „Port“ (czyli handel); w rogach — cztery bronzowe postacie najcharakterystyczniejszych, najbardziej typowych robotników. Prócz tego jednak jeszcze, z frontu — „Macierzyństwo“: piękna, biała i pełna matka flamandzka, trzymająca jedną ręką w pół zdrowego, silnego, odchowanego już chłopaka, na drugiej — niemowlę, rozkosznie śpiące przy pełnej piersi. Co znaczy to „Macierzyństwo“ na pomniku pracy? To — modlitwa — nadzieja: niech praca będzie ludziom wreszcie matką!

Spollan.

Notatki literackie i artystyczne.

— Ida Pilecka: *Kulig*. Kielce, 1902. Jeśli cię tegoroczna zima niecierpliwi i drażni, zgryźliwy czytelniku, jeśli niechętnem okiem patrzysz, jak ta potężna pani, od brylantów i łez ludzkich lśniąca, pochwyciła berło w swe twarde, srogie dłonie, w których biedni ludziska wiją się, kurczą, kostnieją i zamarzają, jeśli ci myśl o tem fałduje czoło bruzdą głęboką, weź do ręki opowieść p. Idy Pileckiej. Przekonasz się, że zima jest rzeczą zgoła miłą; przecie, gdyby nie ona, nie byłoby śniegu, a zatem nie byłoby tak świetnego kuligu, o jakim nam autorka opowiada, o którym napisała całą książkę, dla którego zresztą wyłącznie wszystko, zdaje się, istnieje, jeśli nie na całym świecie, to przynajmniej w powieści p. Idy Pilnckiej.

Autorka zamierza „własną opiewać ziemię, wspólne w uczuciu, przygodach i zwyczajach plemię“; dzieło jej od prądów *chwili* zależne nie będzie. Istotnie, kraśne maki na okładce modernistycznego pokroju są jedynem ze strony autorki na rzecz modernizmu ustępstwem; po za okładką — zamieńmy wyraz obcy swojskim — nic w całym tomie nie zdradza, że to utwór współczesny. I nikt też nie uczyni autorce zarzutu, że np. w utworze jej przebija wpływ Kasprowicza lub Tetmajera, zarzutu, stawianego tak często niemal wszystkim młodym poetom *minorum gentium*. Zajmuje ona wśród poetów dzisiejszych stanowisko całkiem samodzielne. Najbliższe zresztą pokrewieństwo łączy autorkę z Jerzym Orwiczem. Czy to nie „Z rodzinnych gniazd“ wyleciała ta para gołąbków p. Pileckiej? W powieści Orwicza więcej poruszono zagadnień, więcej trzeba było rozwikłać kolizyj, więcej zresztą gniazd uwić, aby połączyć aż kilka kochających się par. P. Pilecka miała łatwiejsze zadanie: jeden tylko Staś i jedna Basia, a więc kulig, dwa bale, bogaty stryjaszek i bez wielkich mozołów, bez denerwujących przeszkód i trudności — „już para narzeczonych pląsa.“ Przyklaśnijmy im wraz z kuligowem gronem.

Kiedy to było? Wczoraj? Przed półwiekami? Prawda, jest tam jakaś wzmianka. Wszystko to zresztą jedno. Jak owe maki na okładce *swojska*, jak one niepretensyonalna opowieść p. I. Pileckiej jest od czasu całkiem oderwana, ale do *miejsca* przywiązana mocno. I do plemienia czy kasty — też. Kulig ów zamaszysty posiada czysto lokalne cechy, i pomykać tak dziarsko, z taką fantazyą siarczystą, z taką swobodą i wesołością można tylko po owej żyznej, proszowskiej ziemi, którą nam opisuje według obietnicy swej autorka. Czy opisuje? Kulig wyrusza z jednego *pałacu* i zmierza do drugiego; po za tem biała równina, „bo ogromne śniegi wszędzie pozapełniały wąwozy i brzegi,“ Lećmy więc za świetnym rojem, przyjrzyjmy się wspaniałym hrabiowskim salonom, ogrzejmy przy świetle kinkietów, posłuchajmy skocznych dźwięków orkiestry. „Wszak to taniec nad tany — mazur narodowy“ i jeśli jeszcze, zgryźliwy czytelniku, nie pozbyłeś się głębokiej zmarszczki, co ci przecina czoło, gdy myślisz o złowrogiej zimie, to już chyba jesteś niepoprawnym hypokondrykiem. *D.*

SPRAWY EKONOMICZNE

Robotnicy rolni w Czechach.

Krajowa rada rolnicza królestwa czeskiego przeprowadziła urzędową obszerną ankietę o stosunkach, panujących w rolnictwie tego kraju. Do pokrycia kosztów tego wysoce pożytecznego przedsięwzięcia przyczynił się znaczną sumą rząd centralny. Kierownictwo całej sprawy spoczywało w rękach krajowej rady rolniczej lub, ściślej mówiąc — dwóch sekcyj: czeskiej i niemieckiej, na które się ta rada dzieli. Cały kraj został dla celów ankiety podzielony na 56 okręgów, z których 31 podpadło pod kompetencyę sekcyi czeskiej, 25 — niemieckiej. Wyniki ankiety w tych ostatnich nie zostały jeszcze ogłoszone; natomiast sekcya czeska niedawno właśnie ogłosiła drukiem swą obszerną pracę *).

Program ankiety był bardzo obszerny i wszechstronny. Obejmował on: ogólne warunki produkcyi, tkwiące w rodzaju gleby, klimacie, sposobach gospodarki, melioracyach, rodzajach uprawy; użytkowanie z maszyn; hodowlę bydła, rybołówstwo, pszczelnictwo, produkcyę owoców; przemysł rolniczy, jak cukrownie, browary, gorzelnie, młyny itp.; stosunki rynkowe i organizacyę zbytu, w tej liczbie i stowarzyszenia w celu sprzedaży i zakupu; szkoły rolnicze; podział własności rolnej i jej różne rodzaje, jak fideikomisy, również sprawę parcelacyi; obdłużenie i organizacyę kredytu, więc i kasy Raiffeisenowskie; ubezpieczenia rolnicze wszelkiego gatunku, zarówno od ognia, gradu i zarazy na bydło, jak i kwestyę ubezpieczenia robotników wiejskich na starość, na wypadek choroby i kalectwa przy pracy; położenie ludności pracującej najemnej, wpływ przemysłu na stosunki w rolnictwie; poziom życiowy drobnych właścicieli ziemskich, dochody z rolnictwa; wreszcie zarobki dodatkowe, jak furmanka lub przemysł domowy. Do wykonania tego programu byli powołani osobni komisarze, po jednym na okrąg, wzięci przeważnie z liczby nauczycieli szkół rolniczych. Zadaniem ich było przedewszystkiem: w porozumieniu z różnemi kompetentnemi osobistościami: starostami, poborcami, rejentami, pisarzami hypotecznymi itd. wybrać w powierzonym sobie okręgu cztery miejscowości typowe i zbadać je szczegółowo. Przybywszy na miejsce, zwoływali na konferencyę kilkanaście osób, tam zamieszkałych i znających dobrze stosunki miejscowe: proboszcza, nauczyciela, członków zarządu gminnego itp.; korzystając z ich wskazówek, szli zwiedzić szczegółowo kilka najbardziej typowych gospodarstw, zadawali gospodarzom pytania, na które odpowiedzi dawano naogół dość chętnie, ponieważ zadający je byli zobowiązani do zachowania tajemnicy urzędowej; wreszcie raz jeszcze odbywała się konferencya z powagami miejscowemi w celu sprawdzenia wartości zebranego materyału, i dopiero potem opracowywano odpowiedź piśmienną na cały kwestyonaryusz.

Cała ta ankieta jest bardzo pouczająca; zamierzamy tu jednak powtórzyć jedynie część jej, dotyczącą położenia czeladzi i robotników najemnych. Odrazu rzuca się w oczy różnica między położeniem tej warstwy ludności w Czechach a w takiej np. Galicyi. Różnica zaś ta pochodzi stąd, że Czechy są krajem przemysłowym. Przemysł przyciąga ludność ze wsi do miast, ponieważ daje jej znacznie korzystniejsze warunki od tych, które odwieczne przyzwyczajenie do bezwzględnego wyzysku chłopa, a po części i rzeczywiste trudności położenia ekonomicznego pozwalają przedsiębiorcy rolnemu zapewnić swoim robotnikom. To też wszyscy właściciele rolni skarżą się w ankiecie na brak robotnika, na konieczność uganiania się za nim, płacenia mu sum niezgodnych z wartością jego pracy. Tak twierdzą właściciele, i twierdzenie to nie jest zupełnie pozbawione słuszności, ponieważ wskutek emigracyi ludności wiejskiej do fabryk, na wsi zostają najsłabsi i najmniej zdolni, często prawie wyłącznie zbyt młodzi, zbyt starzy i kobiety. Jest to jeden więcej dowód, że wysokość zarobków najmniej zależy od wydajności pracy samej w sobie, a daleko bardziej — od stanu rynku pracy. Istotnie, w ciągu ostatnich paru dziesięcioleci płace wszystkich robotników rolnych wzrosły tu nadzwyczajnie: wzrost ten w porównaniu z r. 1876 wynosi 20—250%.

Co do obecnego stanu rzeczy, to trzeba oczywiście rozróżniać dwie kategorye robotników rolnych: stałą czeladź i najemników dziennych. Pierwsza (jak i u nas) otrzymuje oprócz pensyi rocznej — utrzymanie i najrozmaitsze dodatki, zależne od zwyczajów miejscowych, np. w okręgu IX parobek otrzymuje 120—160 koron rocznie, oraz 20 łokci płótna, $19\frac{1}{2}$ ara (mniej niż $\frac{1}{3}$ morga) pola pod kartofle, oraz pieczywo i jaja na różne święta; dziewka — 100—140 k., nową suknię, 20 łokci płótna, 5 arów pod len, oraz pieczywo i jaja. Zonata czeladź nie otrzymuje jedzenia, lecz za to różne ilości kartofli, pszenicy, żyta, jęczmienia, drzewa opałowego, mleka. Co

*) „Výsledki šetření (agrární anketa) poměru hospodářských i kulturních zěmědilského obyvatelstva w království Českém w letech 1898—1900.

do zarobków w pieniądzach, to przytoczona w ankiecie szczegółowa tablica wskazuje, że parobcy stali otrzymują najczęściej 150 koron rocznie, nierzadko też 120; to są najczęściej spotykane granice, między któremi płace ich się wahają; młodzi chłopcy dostają od 60 kor. (najniższa granica) do 100 rocznie; ale spotykają się u służby doświadczeńszej w pewnych bardziej przemysłowych okolicach i pensye roczne po 180, 200, nawet 240 i 288 koron. Żonaci fornale w wielkich majątkach dostają od 360 aż do 600 koron rocznie, oprócz ordynaryi itp. Dziewki czeladne pobierają najczęściej od 80 do 140 k., *maximum* jest 200; początkujące — od 40 k.

Co do zarobków najemników dziennych, to zaczynają się od 60 halerzy, często wynoszą 80 h., 1 k., 1 k. 30 h., czasem dochodzą do 1 k. 60 h., 2 k., *maximum* 2 k. 40 h. (dla kobiet — trochę mniej), ale to wszystko — z jedzeniem oprócz zapłaty. Naturalnie, w zimie zarobki tej kategoryi robotników spadają. Bez jedzenia są dość znacznie wyższe; ale ta forma umowy spotyka się rzadziej. Umiejętni, fachowi kosiarze zarabiają od 2 czasem aż do 6 kor. dziennie i oprócz tego — wódkę i chleb.

Jednem słowem, ankieta stwierdza wielokrotnie, że czeladź i najemnicy, ci ostatni — o ile mają stałe zajęcie, żyją znacznie lepiej, niż obdłużony chłop, drobny właściciel.

Widoczne tu jest podniesienie się poziomu potrzeb całej tej warstwy ludności, wyrażające się, jak wszędzie, w formach tak ujemnych, jak i dodatnich, i wywołujące ze strony obywatelstwa, duchowieństwa itd., utyskiwania i projekty zaradzenia złemu. Projekty te notowane też były skrzętnie w ankiecie i stanowią bardzo ciekawą jej część. Przeważnie — notują korespondenci ankiety głosy publiczności — znikły już patryarchalne stosunki między pracodawcą a czeladzią i najemnikami. Obie te kategorye robotników piją dużo, hulają, tańczą w karczmach, demoralizują się. Aby temu zaradzić, należałoby, mówią jedni, wprowadzić obowiązkową, dopełniającą i powtarzającą szkołę niedzielną dla młodzieży, wyrosłej już z wieku szkolnego, oraz obowiązkowe kursy *fachowe dla czeladzi*; zamykać o wczesnej godzinie gospody i szynki na wsi i zmniejszyć ich liczbę, ale inni oprócz tego dodają: ograniczyć możność zabaw tanecznych i surowo karać czeladź, włóczącą się po nocach!

Różne projekty powstają również w celu zapobieżenia niesłowności czeladzi, łamaniu przez nią kontraktów, czemu sprzyja działalność prywatnych agentów najmu, i odciąganie sobie nawzajem czeladzi przez samych pracodawców. Czeladź — mówią sprawozdawcy — zdaje sobie doskonale sprawę ze swej wartości dla pana i łamie kontrakt „o byle co.“ Chcieliby więc panowie zaostrzenia kar za łamanie kontraktu, zmiany terminu wymówienia umowy, tak aby pracodawca mógł ją wymówić na 2 tygodnie, ale służący tylko na 8 tygodni, dawania zadatku nie przez pracodawcę służącemu, lecz odwrotnie, rozłożenia wypłaty pensyi rocznej tak, aby na lato przypadało 40%, na jesień 30%, na zimę 8% i na wiosnę 22%; wreszcie niektórzy żądają też ustanowienia w gminach wiejskich nieodwołalnych sądów rozjemczych na wypadek nieporozumień między służbą a pracodawcą!

Na różne sposoby chcieliby też rolnicy zaradzić brakowi rąk roboczych na wsi. Jedni radzą oddawać robotnikom bezpłatnie pod uprawę kawałeczki ziemi, budować dla nich mieszkania—i w ten sposób, praktykowany już przez paru wielkich właścicieli, przywiązywać robotnika rolnego do miejsca. W tym celu jeden z magnatów, oprócz dawania gruntu (po 5 arów) i mieszkania, zbudował jeszcze przytułek dla starych, wysłużonych robotników, tak czeladzi, jak najemnych. Inni zwracają uwagę na szkodliwość poboru wojskowego, który odciąga wieśniaków od gleby, tak że często już nie wracają do niej. Należałoby, mówią, skrócić służbę do lat 2, przynajmniej dla synów gospodarzy i dla kończących szkoły rolnicze, dawać w lecie urlopy tym, którzy chcieliby pracować na roli, i bezwarunkowo przesunąć termin manewrów, przypadających na czas pilnych robót polnych. Jeszcze inni najprościej w świecie radzą, aby w celu zapobieżenia brakowi rąk na wsi — w miastach nie pozwalano absolutnie pozostawać żadnemu robotnikowi, niemającemu zajęcia! Ale zato są i tacy — i to zjawisko ciekawe i godne uwagi, na którem notatkę niniejszą zakończę — którzy z jednej strony, dla zrównania w umyśle robotnika pracy na wsi z zatrudnieniem w mieście, domagają się wprowadzenia obowiązkowego ubezpieczenia robotników rolnych na starość, od choroby i od wypadków przy pracy; z drugiej strony zaś usiłują cel ten sam osiągnąć przez — zakaz prawny przyjmowania robotników do fabryk, do zakładów przemysłowych wogóle, przed skończeniem 18 roku życia u młodzieńców, 20 — u dziewcząt!

zz.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Z powodu zbyt często powtarzających się wypadków nieszczęśliwych z robotnikami w Zagłębiu Dąbrowskiem, zarząd górniczy wysłał tam specyalną komisyę w celu wyjaśnienia przyczyny złego.

— W Berlinie utworzył się Związek polsko-katolickich robotników prowincyi brandenburskiej.

Z Poznańskiego. Dyrekcye kolejowe w dzielnicach zachodnich rozesłały do urzędników okólnik, z zapytaniem, czy nie chcieliby otrzymać stanowiska w dzielnicach polskich. W razie znalezienia się kandydatów odpowiednia liczba urzędników polskich będzie przeniesiona na ich miejsce.

— *Rhein. Westf. Ztg.* donosi, że w Dortmundzie władza szkolna zakazała dzieciom uczęszczać na nabożeństwa polskie. Pismo dodaje, iż kilkakrotnie zdarzyło się, że dzieci wyprowadzono podczas nabożeństw polskich i zmuszano do pójścia na nabożeństwo niemieckie.

— Związek nauczycieli na Górnym Śląsku wystąpił do zarządu z podaniem, aby, na wzór Poznańskiego i Prus Zachodnich, nauczycielom, zajmującem posady w okolicach polskich, przyznano zapomogę germanizacyjną.

— Bank ziemski w Poznaniu rozpisał subskrypcyę nowej, czwartej emisyi akcyj swoich, na milion marek, w celu podniesienia trzymilionowego kapitału zakładowego do sumy czterech milionów marek. Należność za akcyę wynosi 1,000 marek z dodatkiem 20 m. na stempel fiskalny, może być wpłacona jednorazowo lub w czterech ratach półrocznych po 250 marek. Każda wpłata oprocentowana będzie w stosunku 4% rocznie, od dnia wpłaty aż do term'nu zamknięcia subskrypcyi na nową emisyę. Akcye Banku ziemskiego przynoszą dywidendę stale od lat 13, a w r. b. — 4%. Należność za akcye można wnosić do Banku ziemskiego w Poznaniu lub do Banku handlowego w Warszawie i jego oddziałów, które również pośredniczą w wypłacie dywidendy od akcyj Banku ziemskiego.

— *Niederschlesische Anzeiger* donosi, że „W północnej części pow. Głogowskiego i w północno-wschodnich częściach powiatów Zielonogórskiego i Kożuchowskiego polonizm zaczyna się opierać na silnej stopie. W m. Sławnie np. Polacy tworzą znaczny procent ludności, a w kilku sąsiednich miejscowościach, które przed 15—20 laty były całkiem niemieckie, teraz Polacy są liczniejsi od Niemców.“

— *Voss. Ztg.* głosi, że rząd w celu wzmocnienia germanizacyi na kresach, zamierza przeznaczyć 150,000 marek na budowę teatru w Toruniu.

Szkoły i wychowanie. Do uniwersytetu warszawskiego uczęszcza obecnie 1,468 słuchaczów: 271 prawosławnych, 900 katolików, 171 żydów, 64 ewangelików, 1 anglikanin i 1 ormianin.

— Na odbytym w Petersburgu zjeździe weterynarzy między innymi uchwalono: podwyższyć budżet instytutów weterynaryjnych do 150,000 rb. rocznie; wydać instytutom charkowskiemu i kazańskiemu po 150,000 rb. jednorazowego zasiłku; zaspokoić niezwłocznie pilne potrzeby instytutów weterynaryjnych warszawskiego i jurjewskiego; utworzyć dwa nowe instytuty w Rosyi europejskiej i azyatyckiej; przedłużyć kurs instytutów z 4 lat do 5-ciu i przyjmować do nich tylko na zasadzie patentów z ukończenia szkół średnich; dopuścić wolnych słuchaczy oraz urządzać kursy repetycyjne dla weterynarzy; rozszerzyć program weterynaryjnych szkół felczerskich.

— W Tomaszowie Rawskim, staraniem miejscowego Zgromadzenia kupieckiego otworzona będzie w sierpniu r. b. siedmioklasowa szkoła handlowa.

— Rada uniwersytetu w Heidelbergu postanowiła otworzyć dla kobiet wydziały prawnicze, dotychczas dla nich niedostępne, oraz dopuszczać kobiety do egzaminów na równych prawach z mężczyznami. (*Kur. Warsz.*).

— Termin składania podań o przyjęcie w r. b. do politechniki warszawskiej oznaczony został od 23 czerwca do 13 lipca.

Wiadomości naukowe. Zjazd lekarzy i przyrodników polskich, który miał się odbyć we Lwowie w roku bieżącym, odroczony został do r. 1904 z powodu, że w r. b. odbędą się zjazdy: międzynarodowy lekarski w Madrycie i ginekologiczny w Wiedniu.

— Rektor politechniki lwowskiej ogłosił konkurs na posadę asystenta przy katedrze budowy mostów.

Ze sztuki. W Salonie Krywulta otworzone zostały wystawy: zbiorowa prac artysty-malarza Józefa Menciny Krzesza, oraz rysunków i obrazów olejnych Anny Costenoble.

Literatura i prasa. W *Zbiorze praw* ogłoszoną została nowa, niewprowadzona jeszcze jednak w życie taryfa celna, która nie obejmuje książek i druków polskich, czyli że wprowadzone niedawno dla tych wydawnictw cło zostaje zniesione. Bez opłaty przywożone być mogą również. Obrazy, rysunki, mapy, nuty wykonane odręcznie na papierze lub płótnie, rękopisy, książki i wydawnictwa peryodyczne, drukowane w jakikolwiek sposób w językach obcych, nie wyłączając tych, które zawierają w tekscie lub w dodatkach do nich nuty, mapy, rysunki, sztychy itp; słowniki z równoległym tekstem rosyjskim. — Opłacie celnej natomiast podlegać będą: książki i wszelkiego rodzaju wydawnictwa w języku rosyjskim; obrazy rysunki, mapy geograficzne, atlasy, nuty itp., wykonane sposobem drukarskim. Za wszystkie powyższe przedmioty, przywożone w oprawie, pobierać się będzie cło po 1 rb. 50 kop. od puda.

— *Frankf. Ztng* donosi, że lirycy niemieccy, związawszy się w kartel, żądają po 50 fen. za wiersz druku i przedruku.

Sprawy ekonomiczne. W okolicy Aleksandrowa Pogranicznego odkryto pokłady soli na głębokości 1,940 stóp.

— Zjazd przemysłowców górniczych Królestwa Polskiego został odroczony do 27 kwietnia r. b.

— W końcu marca r. b. zwołany będzie w Petersburgu zjazd w celu obmyślenia środków rozpowszechnienia żelaza.

— We wsi Bobrowniki, w odległości 10 wiorst od Będzina a kilka od Bytomia ze strony pruskiej, otworzono graniczny punkt przejściowy.

— *Tor. Prom. Gaz.* donosi: „W r. 1896 przy ministeryum rolnictwa utworzono specyalny kapitał, z których udzielane być miały właścicielom ziemskim pożyczki na melioracye w różnych gałęziach gospodarstwa rolnego. Z kredytu tego nie korzystały jednak kresy państwa, a w liczbie tej i gubernie Królestwa Polskiego. Ponieważ obecnie kapitał ten przy pomocy skarbu Państwa, oraz z dochodów od udzielanych dotychczas pożyczek zwiększył się przeszło w dwójnasób, właściciele zaś ziemscy gubernij Królestwa coraz częściej występują z prośbami o danie im możności korzystania z kredytu melioracyjnego, minister rolnictwa, po porozumieniu się z ministrem skarbu, uznał za stosowne rozpocząć wydawanie pożyczek tego rodzaju rolnikom Królestwa na melioracye w następujących gałęziach gospodarstwa rolnego: na osuszanie przestrzeni błotnych, drenowanie i nawadnianie gruntów, wzmacnianie brzegów rzek i jezior, oraz piasków lotnych, zalesiania, zakładanie ogrodów owocowych, doprowadzanie do stanu wydajności nieu

ków, zakładanie plantacyj chmielu, urządzanie gospodarstw drobnych, stawianie budynków gospodarczych, budowę zakładów przemysłowych do przeróbki produktów własnych, oraz na zakup bydła rasowego."

Poczta. Od 14 lutego r. b. wolno będzie przesyłać pocztą wewnątrz państwa przedmioty, mające wartości do 45.000 rb.

Koleje i komunikacye. Na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej pobieraną będzie od podróżnych opłata dodatkowa na pociągi o szybszym biegu: w klasie I—30 proc., w II—40 proc., a na express—50 proc.

— Ministeryum komunikacyj pozwoliło na wprowadzenie acetylenowego oświetlenia wagonów.

Zdrowie publiczne. W Odesie otworzono wystawę przeciwgruźliczą.

— Prof. Tizzoni, w Bolonii, wynalazł surowicę gorączki płucnej.

— Amerykanin Rockefeller przeznacza 7 mil. dolarów za wynalezienie środka przeciw gruźlicy.

— W Wiedniu zawiązało się Towarzystwo w celu niesienia pomocy dotkniętym suchotami.

Katastrofy. Na kolei Rjazańsko-Uralskiej, w pobliżu stacyi Ponomarewo-Dankowo rozbił się pociąg towarowy i spadł z mostu; kilka osób z obsługi pociągowej odniosło ciężkie uszkodzenia, jeden z konduktorów nie został odnaleziony.

— W Cranford, pod Nowym - Yorkiem, pociąg express najechał na osobowy. Trzydzieści jeden osób zabitych, sto kilkadziesiąt ciężko ranionych, gdyż spaliły się trzy wagony napełnione ludźmi, dążącymi do zajęć w mieście.

— W zakładzie dla obłąkanych w Colney-Hatch pod Londynem wybuchł pożar. W oddziale dla obłąkanych żydówek spaliło się pięć oddzielnych pawilonów. Ratowanie nieszczęśliwych utrudniał opór z ich strony. Po ugaszeniu ognia znaleziono 50 kilka trupów zwęglonych.

Na kolei Erywańskiej rozbił się pociąg osobowy, kilka osób zostało poranionych.

Zmarli. Dr. Piotr Seifman, b. dyrektor lwowskiej Akademii weterynaryjnej, autor licznych prac w zakresie swej specyalności; w 80 roku życia, w Krakowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A K. art. mal. w Warszawie. Niestety, Szanowny Panie, i my nie rozumiemy, dlaczego *Wędrowiec* w numerze ostatnim swej odbitce ze słynnego *od lat dziesięciu* obrazu G. Rochegrosse'a p. t. „Bunt chłopski" nadał nazwę — „Z prześladowań Hugonotów." Z równą słusznością, istotnie, możnaby go nazwać „Obroną Częstochowy."

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Января 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.